Nr. 21 (1428). Warszawa, 23 Maja 1908 r. **Rok XXVIII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcya i administracya **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i Życie społeczne

Kto winien?

Są u nas sprawy, o których pomiędzy ludźmi postępowymi niema dwóch zdań.

Taką, między innemi, jest sprawa ludowa.

Chcę zesumować pokrótce, co my—inteligenci, — o tej sprawie wiemy i jakie z onej wiedzy wyciągamy wnioski.

A więc wiemy:

1-o) Iż w ludzie przyszłość narodu spoczywa;

2-o) Że lud w 80% składa się z analfabetów;

3-o) Że lud nieufnie spogląda na „panów" (surdutowców), którzy idą doń z pełnemi garściami dobrych chęci, — i tłomaczymy to ciemnotą.

4-o) Ze największy wpływ na lud ma u nas duchowieństwo.

5-o) Ze jest pośród nas garstka zapaleńców, którzy twierdzą, jakoby lud, chłopi, ujawniają chwalebną skłonność wyzbycia się analfabetyzmu.

Oto, zdaje mi się, i cały już komplet pewników, którym rozporządza nasza znajomość ludu i rzeczy jego. Otóż chodzi mi na razie nie o pomnożenie tego zasobu „prawd", — tylko o pewne rozwinięcie niektórych z nich, — najbardziej zaś pod numerem trzecim umieszczonej. O innych — innym razem.

A więc wyprowadźmy przed forum kwestyę nieufności ludu względem inteligencyi.

Kwestya ta ma u nas swoją historyę.

Oto jej geneza:

Stał się przywilej; przywilej zrodził pańszczyznę, a pańszczyzna zrodziła rozłam klasowy, a rozłam klasowy zrodził pogardliwą Dumę i nienawistną Nieufność.

A Duma przybrała się w purpurę i złotogłów, — Nieufność zaś przyoblekła sukmanę. I zamknęła się każda sama w sobie; lecz że na jednej ziemi siedziały, więc codziennie stykały się ze sobą — wzrastały w walce głuchej, — aż utraciły zdolność porozumiewania się.

W on czas Duma kazała tęczom poezyi osłonić Nieufności przybytki, i wmawiała w siebie, że tęcz mosty złote są, a Nieufności niemasz zgoła. A jeśli jest, — to tak maleńka, iż się nie godzi jej widzieć.

W onże czas Nieufność włożyła na barki swe przesłodkie Rezygnacyi brzemię, — myśląc w sercu swem: „Niech was wszyscy dyabli wezmą"!

Aż po latach wielu stał się cud: Lęk przemożny zapukał do drzwi Dumy, a ta, stłumiwszy pogardę, rozwarła ramiona, wołając na siermiężne rzesze: „Bracie!"

Które nieufność pięścią w łeb — i dalejże w bratnie objęcia!

To były gody złudzenia wolności.

Ale nie wszyscy Nieufności sukmanni synowie wierzyli w szczerość uczuć, bratających się z nimi panów.

Przez usta bowiem „najciemniejszych" Nieufność mówiła do tych, co ją w swem sercu zabili, w te słowa:

„Idźcie! Idźcie! Bratajcie się z panami! Niebawem przekonacie się, jak rychło was opuszczą"!

Ale pogromcy Nieufności litowali się nad ciemniejszą bracią i — bratali się, i na wiecach mówili: „Tak, tak"! I wybierali posłów wedle wskazania.

A Nieufność wciąż krakała swoje:

„Zobaczycie!"

Jak świat światem — nie sprawdziło się jedno tylko złe proroctwo — przepowiednia Jonasza — proroka. Inne się zawsze dokonywały.

Dokonało się i ono złowróżbne: „Zobaczycie" — Nieufności.

Gdy bowiem wkrótce mróz niemiłosiernie zwarzył naiwne ździebełka wolnościowych aspiracyi, — a posłowie już rajcowali w mieście Hiperborejskiem, — rzekła Duma do wrzekomej swej braci:

„No, — dosyć!"

I skierowała stopy swe ku domostwu swemu.

A gdy brać pytała:

„A jakże dalej będzie?"

Duma dobrotliwie dorzuciła:

„— bo kozaków wezmę!"

I z tem odeszła do przybytków swoich.

Nieufność zaś skorzystała z tej chwili i przypięła się do serca siermiężnego człowieka.

Wielka, znacznie większa Nieufność, niż ona, przedwolnościowa.

Potęgują ją nadto pewne refleksye; n. p. „Tyle panowie gadali o autonomii i innych pięknych rzeczach, — a nie zgadli... Chyba więc udawali mądrzejszych, niż są w rzeczywistości"...

lub:

„Pon się boją na wsi ruchu"...

Cóż tedy jest dzisiaj?

Jest wielka przepaść pomiędzy dworem a chatą; szersza i głębsza, niż przed 3 laty.

Ale poza dworską „inteligencyą" posiadamy zastępy inteligencyi miejskiej, — od chlubnie znanych światu uczonych i literatów, i artystów aż do...

Powiedzmy bez nazywania zawodu: do umiejących tylko czytać, pisać i rachować.

Cóż myśli o nich siermiężna Nieufność? Jakie względem nich żywi uczucia?

A no, — nie koniecznie wierzy i tym. Po świeżym zawodzie na znajomych jej od dzieciństwa wiejskich i dworskich surdu-

towcach, nieufnem okiem spogląda ona na tych, nowych:

„Licho ich tam wie, czego oni chcą"...

A tem trudniej jej dociec i pojąć, czego „oni" chcą, że ci „oni" i sami niekoniecznie to wiedzą. Właściwie wiedzą tyle, że chcą *dobra* dla ludu. Ale co na to trzeba robić, — o tem mają pojęcie, nie przymierzając, — jak o żelaznym wilku.

Tak jest. Serce miejskiej inteligencyi wypełniają niewyczerpane zapasy *sympatyi* dla wsi; ale pożytek z niej dla ludu jest tak problematyczny, że można nazwać go *zerem*.

A to z tej prostej przyczyny, ze sympatya ona *bezczynna* jest.

Owszem, — gdyby ot, jakoś się tak stało, że wieś polska, lud *nagle* rozblysnął cnotami i mądrością, zasłynął oświatą i kulturalnością, — o! postępowa inteligencya miejska byłaby płakała i pląsała z radości.

Ale cud on musiałby się stać nagle; gdyby się był stawał stopniowo, — przeszedłby niespostrzeżony przez miasto.

Co ciekawsza: jest nie mały autoramencik inteligencyi miejskiej, która dlatego tylko nie przystępuje do pracy na wsi, że jest nadmiernie skromna, nie wierzy w swoje siły wobec ogromu zadania.

Jako żywo! Nikt nigdy nigdzie nic nie uczynił, jeżeli w swe siły nie wierzył!

Lecz słaba to dla nas pociecha!

Nieufność wsi do inteligencyi tymczasem się nie zmniejsza; a naiwnością jest zaiste twierdzić, że przyczyną jej ostawiona ciemnota chłopa.

Bo wszakże w oczach naszych wielkie zastępy ich mówiły na wiecach: „Tak!" i posłów wedle wskazania obierały. Ciemnymi byli, jak i dziś, ciemniejszymi nawet, — a jednak ufali.

Przestańmy wszystko złe na ciemnotę zwalać; uderzmy się w piersi natomiast i spytajmy się:

„Cośmy ku zwalczeniu nieufności ludu przedsięwzięli"?

A gdy sumienie odpowie nam:

„Nic!" —

— nie szukajmy motywów dla usprawiedliwienia bezczynności naszej; — bo te niewątpliwie w nadmiernej obfitości znajdziemy, poczynając od t. zw. „przyczyn niezależnych" aż do „nieufności w swoje siły".

Bądźmy raz rzetelnie szczerzy i powiedzmy otwarcie:

„Lud, sprawa ludowa i wszystko, co ze sprawą ludową jest związane nas interesuje i obchodzi, — nie tak jednak, abyśmy mogli przełamać przyzwyczajenia i nałogi nasze i stanąć naprawdę do pracy. Gotowiśmy w każdej chwili słuchać odczytów o ludzie, — nie zbyt długich, gotowiśmy godzinami dyskutować o sprawach ludowych, — ale nie możemy dać na te sprawy więcej nad grosz jeden.

Jan Adamowicz.

Na gruzach „bloku".

(Wybory municypalne we Francyi).

Zmilkły gwarne sale wiecowe, rozgorączkowani wyborcy wrócili do zwykłych zajęć, niefortunni kandydaci do ław poselskich wycofali się w ustronia, by rozpamiętywać w cichości swoje klęski— jedynie na murach pozostały strzępy różnokolorowych afiszów, zaś po łamach gazet tułają się milknące echa namiętnej polemiki...

Wybory municypalne, rozpoczęte w dniu 3-im maja i dokonane w tydzień potem — wzbudziły ogólne zainteresowanie wskutek dziwacznej postury socyalistów, którzy wypowiedzieli byli walkę radykałom i uwikłali się w sidła własnej taktyki.

Klęska kolektywistów jest niejako „gwoździem" minionych wyborów, tematem wszystkich rozmów w kuluarach politycznych, w klubach i w kawiarniach.

Zjednoczenie socyalistyczne (*Parti socialiste unifie*) straciło w Paryżu trzy mandaty, na prowincyi zaś—blizko setkę. Kolektywiści wyparci zostali z Tuluzy, z Brestu, z Dijon, z Cette; w Lugdunie i w Montpellier ponieśli dotkliwą porażkę; w Lille, Roubaix, Bourges, Limoges, Romilly, Montluçon spotkało ich zupełne niepowodzenie. Nawet socyaliści niezależni, porwani prądem antykolektywizmu, wyparci zostali z Grenobli i z Saint-Etienne.

Bardzo wybitnym epizodem była walka wyborcza w Tuluzie, stolicy Południa, gdzie koncentrują się szyki radykalne i skąd *le mot d'ordre* rozlega się na całą Francyę. Dotychczas Tuluza była w rękach socyalistów, którzy rządzili na kapitolu (czyli w Radzie miejskiej) głównie dzięki poparciu sprzymierzonych radykałów. Od czasu jednak, gdy Zjednoczenie socyalistyczne działać poczęło na własną rękę pod nowem hasłem: *a bas les radicaux!* — zawrzała sroga walka, która wypadła dla zjednoczeniowców fatalnie, pomimo osobistego przewództwa samego Jauresa, pomimo nawet — rzecz we Francyi niesłychana — przymierza taktycznego z nacyonalistami i ze skrajną prawicą klerykalną. Kapitol tuluzański jest dziś w rękach radykałów.

W Paryżu układ sił w nowej Radzie przedstawia się w sposób następujący: z ogólnej liczby 80 radców do Zjednoczenia socyal. należy 10; socyalistów niezależnych jest 11; socyal. republikanin 1; radykałów 21; postęp. i antykolektyw. 9; zachow. i liberałów 9; nacyonalistów 19. Czyli w stosunku do poprzedniego składu, nacyonaliści zyskali 1 mandat, radykali — 2, zaś socyaliści utracili 3 mandaty.

Przejdźmy do miast prowincyonalnych. Z ogólnej liczby 436 miast zyskali *większość*:

socyaliści	w 11	miastach
socyal. niezal.	„ 7	„
radykali	„ 223	„
republ. lewi	„ 96	„
postępowcy	„ 54	„
nacyonal. i zach.	„ 44	„

Radykali zdobyli zatem 38 miast, głównie kosztem socyalistów i zachowawców.

Przyczyny klęski kolektywistów są aż nadto widoczne: leżą jak na dłoni. Nieostrożne, zbyteczne przymierze z anarchosyndykalizmem, wrzaskliwe proklamowanie zasad Hervé'go, stanowisko nieprzejednanie wrogie wobec radykałów ustawicznie mieszanych z błotem, szkalowanych i czernionych na łamach gazet partyjnych i na wiecach publicznych z zapałem, godnym daleko lepszej sprawy — wszystko to musiało odstręczyć od Zjednoczenia ogromny zastęp sympatyków mieszczańskich, entuzyastów nadklasowych, ideowych rzeczników kolektywizmu, dając zarazem przeciwnikom cenny atut wyborczy, z którego ci ostatni korzystali umiejętnie i skwapliwie.

2)

BAJKA O SZCZĘŚCIU.

w 2-ch żywych obrazach.

I.

Obraz Wschodni.

(Ciąg dalszy.)

Leila. (*przerywa*). Pewno ten kamień przecudny chciał zawieść swojej żonie ulubionej.

Zara. Oczarowany był pięknością pierścienia. Lecz długo się nim nie lubował. Było to wieczorem, upłynął już trzeci dzień dany Królowi indyjskiemu do poddania się, lub podjęcia walki; ponieważ nie przybywało poselstwo pokorne, więc sułtan surowo rozkazał wojskom spocząć z zachodem słońca, aby o świcie wyruszyć na zdobywczą wyprawę. Sam on też udał się do swego namiotu, by snem się pokrzepić na trudy dnia następnego. Cisza głęboka zapanowała. Wszystko spało, aby o świcie stać pod bronią, gdy z namiotu królewskiego wyjdzie władca i wódz.

Noc była duszna. Księżyc wschodził i pierwsze jego promienie padły przez podniesioną zasłonę namiotu na łoże sułtana, prześlizgnęły się po ręce jego i na ogromnym opalu zaigrały kolorowymi blaskami, migocąc przed oczami Fajzulli. Przypatrywał on się grze światła i oczarowany, nie mógł wzroku oderwać od swego pierścienia: drgające ruchem fale tęczowe zdawały się w opalu przelewać, mienić, rozszerzać, uchodzić po za złotą obręcz swą, uciekać naokoło, wracać do niego, albo w ciemności się rozlewać; już po chwili pociągnęły po promieniach księżycowych strumieniem opalowym, popłynęły ku wejściu namiotu, a tam w szerokim słupie światła znowu się mienić poczęły: — rozsiewały się, zlewały, mleczno przejrzystem, tęczowem widmem stawały.

Sułtan przymrużył powieki, znużone blaskami.

Po chwili je podniósł znowu: łoże jego już w mroku tonęło, ale w słupie księżycowym majaczyło jeszcze opalowe widmo, coraz więcej kształtów ludzkich nabierając.

Patrzył Fajzulla i widział, jak lice widma nadziemską zdradzały urodę, jak uśmiechem słodkim, a smętnem spojrzeniem zajaśniały; jak fala włosów, to złotem to srebrem spadać się zdała: jak zasłony dziewicze mieniły się nieba błękitem, zorzy rumieńcem, chmurki białością.

Patrzył Fajzulla i widział, jak ta przejrzysta postać kobieca mieni się i chwieje, jak się nachyla i podnosi, zbliża się i oddala, jakby w tańcu tajemniczym, a ruchom jej ciche dźwięki harmonijne towarzyszą.

Patrzył Fajzulla, i serce jego błogością się napełniało i ciekawością radosną i spokojem jasnym zarazem.

Patrzył i rozkoszował się zjawiskiem cudnem noc całą, aż znikł księżyc i nastał brzask i wchłonął w siebie opalową dziewicę, a sułtan zmęczony i oczarowany rzucił się na poduszki i usnął snem twardym.

Słońce już dawno weszło, wojsko pod bronią stało i czekało. Starszyzna nie mogła się nadziwić, że sułtan nie ukazuje się

Dla zachowawców kolektywizm miejski jest bodaj groźniejszym od kolektywizmu państwowego, dlatego, że jest bliższy od tego ostatniego, że ma łatwiejsze środki działania i grunt odpowiednio przygotowany. Z drugiej znów strony faktem jest, że *miasto* jest pożądanym terenem do polityki socyalistycznej i do doświadczeń gospodarczych, zwłaszcza wielkie miasto, jak Paryż, Lugdun lub Tuluza. *Agitacya* winna tam ustąpić miejsca *polityce*: nie bombą i nie powstaniem zdobyć może kolektywizm wielkie centra miejskie, jeno rozumną polityką, opartą na obiektywnych ekonomicznych danych, na zbiorowych wymogach życia, na solidarności z postępowcami — jednem słowem: przy pomocy metod i środków nowoczesnej sztuki współrządzenia i współżycia.

Umysł Jauresa, szeroki, jasny i otwarty— nadawał się dobrze do tej cennej sztuki. Niestety — i ten umysł uległ zarazie sekciarstwa, ciasnoty i doktryny. Jest to dotkliwa szkoda nietylko dla socyalizmu francuskiego, ale dla szeroko pojętego postępu, z którym pierwszy jest nierozerwalnie związany.

Nieprzejednani krańcowcy nie chcą tego widzieć. Nie chcą widzieć, że stronnictwo robotnicze w kraju, jak Francya, zamożnym, drobno - wytwórczym, rolniczym i małomieszczańskim — wspierać się musi na radykalizmie, który do ostatniej chwili, nie bacząc na szyderstwa maniaków — wyciągał do robotników dłoń bratnią; nie chcą widzieć, że kolektywizm przyciąga i nęci masy nietylko przez propagandę nienawiści i walki, ale i przez szlachetny urok ideowy, przez *prometeizm* pozytywny i światły, który zyskuje dlań umysły postępowe i niezależne; że zatem zakres jego wpływu może i powinien przekraczać ramy ściśle pojętego proletaryatu, rozwijając szeroki front aż do prawego krańca radykalizmu, jednocząc i zespalając we wspólnem dążeniu wszystkie żywioły wolnościowe, wolnomyślne, postępowe i żądne ulepszeń społecznych.

Nie widzieć tego i tryumfować, ze oto, dzięki porażce, socyalizm „zyskał na czystości" mogą tylko nieuleczalni scholastycy, wielbiciele tez oderwanych, niewolnicy formuł symetrycznych, nieprzyjaciele życia, ruchu i rozwoju, krecie mózgi i szczurze usposobienia, typy zajadłych a ciasnogłowych warchołów, którym przyglądałem się często na obszarze Królestwa Polskiego i Litwy — a które, jak się zdaje, dzierżą chwilowe berło władzy również i we francuskiem Zjednoczeniu socyalistycznem.

Porażkę socyalistów we Francyi notuję bez uciechy, ale i bez żalu. W podobnej porażce tkwi korzyść połowiczna — bo oto niejeden ślepy i głuchy doktryner przyłoży teraz palec do upartego łba i odda się samodzielnej medytacyi na temat różnic pomiędzy współzawodnictwem a współdziałaniem.

Inna korzyść: podmuch zimnego realizmu nadciąga z pobojowiska po każdej poniesionej klęsce i rozwiewa wydętą bańkę mydlaną frazesów rewolucyjnych i „snów o potędze". Gustaw Rouanet, czyniąc *bonne mine au mauvais jeu* zapewnia wprawdzie na szpaltach *l'Humanité* że socyalizm „stoi na nogach" (*reste debout*) gdy w oczach całego świata siadł on... na koszu; — w dalszym jednak ciągu przekłada usilnie, że nie chodzi tu o grę niespodzianek, że niepodobna wykrzesać nowej ery przez jakoweś *coup de main* w zarządzie wielkiego miasta. „Transformacya społeczna jest pracą żmudną, obliczoną na długie lata; trzeba, by nasz ideał przesiąkł w świadomość proletaryacką wszędzie, po miastach i po wsiach jednocześnie. Przyrost głosów, oddanych na kandydatury partyjne — istnieje — *i to jest rzecz najważniejsza*".

I oto, dzięki gorzkiej pigułce, opadł zbytni ferwor najbardziej butnych menerów, którzy wczoraj jeszcze arogancko odtrącali dłoń radykałów i złączeni we wrzaskliwą kohortę pod banderą Hervégo i Pataud'a — wywracali świat do góry podszewką, mając okrzyk bojowy na ustach, a w kieszeni — wyrok zagłady na cały radykalizm francuski; dziś, potulnie siadłszy na stronie, rozkładają niedoszły tryumf na szereg lat i liczą gałki wyborcze, głosząc, że „to jest rzeczą najważniejszą". Metamorfoza zbyt nagła i dlatego komiczna. Swoją drogą, najżyczliwszy nawet sympatyk przyznać musi, że dla dobra sprawy robotniczej należy tego rodzaju „politykom" życzyć, aby byli jaknajczęściej bici: każda klęska przysparza im rozumu.

Radykali — trzeba oddać im tę sprawiedliwość — z małemi wyjątkami zachowali się bardzo powściągliwie, zarówno wobec arogancyi socyalistów, jak i wobec ich upokorzenia. Organy takie, jak *Rappel*, *Lanterne*, *Action*, *Petite République*, *Gil Blas* — ubolewają nad tem, że większość postępowa nowej Rady m. Paryża jest mniej jednolita i mniej jednomyślna, niż w ubiegłym okresie 1904—1908 r. Odzywają się po lewicy radykalnej poważne głosy, które stwierdzają, że nieufność do kolektywizmu pobudzona przez skrajnych socyalistów, przeniosła się częściowo i na lewicę radykalną, radykało-socyalistów (*radicaux-socialistes*), która została gdzieniegdzie uszczuplona na korzyść radykalizmu. Ten ostatni tryumfuje bez żadnych zastrzeżeń. Zamiast słynnego hasła „bloku": *pas d'ennemis a gauche!* — hasła, które znamionowało świetne czasy gabinetów Waldecka - Rousseau i Combes'a — setki miast rozbrzmiewają obecnie hasłem radykałów: *ni reaction, ni revolution!*

Leon Gorecki.

LIBERUM VETO.

Dekoracye społeczne.

Druga połowa 1906 r. była dla nas chwilą wielkich radości, wielkich nadziei i wielkich złudzeń. W roku tym—jak wiadomo — wydana została nowa ustawa o stowarzyszeniach, ułatwiająca wszelkiego rodzaju związki w celach społecznych. Do korzystania z niej rzuciliśmy się tłumem: w samej Warszawie zalegalizowano sto kilkadziesiąt najrozmaitszych zrzeszeń a w całym kraju powstało ich paręset. Niemożność zbiorowej pracy kulturalnej była jednem z najstraszniejszych ogniw łańcucha, którym nas skrępowała niewola. Skutkiem tego po wszystkich dziedzinach naszego życia rozpostarły się bezpłodne i zachwaszczone odłogi, na których tylko tu i owdzie energia jednostkowa wyorywała i obsiewała odosobnione zagony. Wtedy, kiedy cały świat cywilizowany zapomocą sprzęgania usiłowań indywidualnych pchał szybko koła swego postępu na każdej drodze, my nie mogliśmy się skupiać do tej roboty. To też gdy nam wreszcie pozwolono łączyć się, gdy kraj pokryła rzadka jeszcze, ale już wiele obiecującą sieć stowarzyszeń, serca nasze zadrgały otuchą i nadzieją. I oto po dwuletniem doświadczeniu spoglądamy na skutki wylewu naszej energii w paręset łożysk prasy społecznej.

Smutny widok — i straszne rozczarowanie! Z nieprzerwaną uwagą śledzę sprawozdania naszych zorganizowanych zbiorowisk i prawie we wszystkich znajduję stwierdzenie jednego gnębiącego zjawiska: stowarzy-

---

i nie daje rozkazu wyruszać, lecz nikt spoczynku władcy przerywać nie śmiał, a nigdy dotąd słońce nie wyprzedziło wodza.

Nakoniec wyszedł z namiotu, dojrzał że słońce wysoko, a znój południa blizki, powiódł okiem zimnem po szeregach i oznajmił że wyruszą dopiero nazajutrz; wodzom zdziwionym nic nie tłomaczył, a nie śmiał nikt pytać ani radzić, bo niedostępny był sułtan Fajzulla i milczący. A nikt nie wiedział, że dusza jego przepełniła się myślą o cudnej zjawie nocnej.

Obóz życiem zawrzał, a do miast indyjskich przybiegli ludzie handlować, wymieniać i sprzedawać, ale głównie wywiadywać się, czy burza zagłady na nich się posuwa; odetchnęli: dzień był wygrany.

Szejk. Przeklęte czary! Czyż taki bohater miał by się im poddać? Straszna twoja bajka Zaro, straszne czary dziwów!

Zara. Wieczorem sułtan wcześnie udał się na spoczynek, rozkazując, żeby znów rano gotowi byli do wyprawy. Chciał sułtan myśleć o tem, jaką drogą poprowadzi szeregi zbrojne swoje do murów Króla indyjskiego, lecz myśl jego odlatywała od wojowniczych zastępów i od dróg kamienistych, i wracała do nocnego zjawiska, a oko jego ciągle niespokojnie w opalu pierścienia się zagłębiało, a serce z drżeniem rozkosznem — czekało.

Księżyc nie wschodził, tylko blade światełko gwiazd migotało w klejnocie, ale fale tęczowe opalu znowu się kłębić i ruszać poczęły, coraz więcej, coraz szerzej z oprawy wychodząc, rozlały się w przestrzeni i w postać kobiecą się zwinęły, w postać powiewną, przejrzystą, nieuchwytną, a wabiącą, uroczą.

Rzucił się sułtan do niej, lecz ona się zachwiała, jak opary łąk, powiewem wiatru chwycone, a lica jej przysłoniły się mgłą; stanął sułtan i jął namiętnie przemawiać:

„Błogosławionaś, żeś przyszła! Czyś wiedziała, żem Cię pragnął, jak źródła w pustyni?" Ona lekko skinęła głową i światłem jaśniejszem zabłysła. „Zjawo cudna, kto jesteś?" „Jestem, nie pytaj, jestem, bądź zadowolony", odpowiedział cichy, słodki, jakby daleki głos. „Jakież imię mam dać tobie, niebianko, powiedz, błagam!" „Ludzie zwą mnie czasem Mrzonka, Ułuda czasem, a imię prastare moje — Maja".

I Maja słuchała namiętnych próśb sułtana i obiecywała zawsze do niego wracać, zawsze mu się ukazywać, jeżeli on ją pokocha wierną miłością; a on przysięgał, że wszystko odda za nią.

„Chodź", powiedziała, „zabiorę ciebie do mojego pałacu". I owinęła go swym welonem obłocznym, i leciała, aż stanęli przed jej pałacem z chmur tęczowych złożonym; na jego ścianach cudną fatą morganą odzwierciadlało się niebo i ziemia i wszystko, czego zapragnął sułtan, a wszystko było piękniejsze, niż on kiedykolwiek widział.

Leila. I sułtan był szczęśliwy i został u Mai?

Zara. Ona go przyniosła napowrót zanim dzień zaświtał i w brzasku znikła, a sułtan wpadł w sen głęboki.

Ludzie znowu napróżno czekali, że wyruszą ku stolicy Indyi. Władca ich późno z namiotu wychodził, niechętnie słuchał o najpilniejszych sprawach, roztargniony był, milczący, lecz mniej surowy, mniej uważny na przekroczenia, mniej groźny, a pochód swój na Indye odkładał ciągle.

Wojownicy znudzeni i stęsknieni do siedzib swoich, przestali się do bitw przysposabiać i czekali odwrotu, a tymczasem biesiadowali i bawili się jak mogli.

Kiedy tak się działo w obozie Fajzulli, Król indyjski, ufny w siłę talizmanu, zebrał

szeni członkowie nic nie robią a całą pracę wykonywa jedna lub kilka osób. Po niewielu miesiącach natężonego biegu ruch tych maszyn społecznych słabnie i wreszcie albo zupełnie ustaje albo redukuje się do obrotu paru kółek. To jest najzwyklejsza kolej wszystkich naszych przedsiewzięć zbiorowych, do których wzdychaliśmy tak długo i porwaliśmy się tak gorąco.

Maluczko a cały ten poryw stanie się łupem humorystyki. Może niedługo sprowadzimy platformy i wywieziemy na nich do składu starych tektur i desek dekoracye społeczne, zwane stowarzyszeniami. Od stu lat przeszło śmiejemy się z miast Potiemkinowskich a sami budujemy je teraz u siebie. Wznosimy okazałe ściany frontowe, wycinamy w nich okna, malujemy je żywemi farbami — wybieramy zarządy, prezesów i komisye rewizyjne, urządzamy posiedzenia komitetów i ogólne zebrania członków, a gdy nadejdzie termin sprawozdań rocznych, trzeba je tkać z frazesów dla zasłonięcia pustki.

Niema tak poważnej sprawy, niema tak strasznej tragedyi, z której nie umielibyśmy zrobić żartu. Najpracowitszą i najpłodniejszą istotą w naszem życiu jest koncept. Nie odpoczywa on nigdy, czujny, skrzętny wszystko dostrzeże, wszystkiego dotknie, do wszystkiego przyczepi swoje drwiny. Czyż nie słyszeliście wesołych opowiadań o duszeniu się lub walce aresztowanych w ciasnej i brudnej celi więzienia lub o naiwnych uwagach ich osieroconych dzieci? A wiesz pan — pyta błazen kawiarniany — dlaczego zwykle wieszają o świcie? Dlatego, ażeby skazańcy mogli ze wzgardą spojrzeć na Wenus-Jutrzenkę, która ich zdradziła. Koncept obiega miasto, rzuca śmiech na najgłębsze rany, na największe bóle, na najszaleńsze rozpacze. Nie odstępuje nas ani na chwilę, rozwiązuje nam wszystkie zagadki życia, uczy nas jego mądrości.

Bawimy się też rzetelnie od roku widokiem stowarzyszeń cierpiących na suchoty, niemoc i uwiąd; kpimy z nich, gdy zyskanych członków nie mogą zegnać w większą gromadę, gdy nowych łapią po ulicach na arkany, gdy daremnie upominają się o zaległe składki, gdy wreszcie stają jak martwe młyny, którym w śluzach woda płynąć przestała. Ofiarny obywatel kraju, dając agentowi jakiegoś stowarzyszenia kilkurublową składkę, mówi smutnie: Jestem już członkiem trzech instytucyj — nie podołam tym obowiązkom... A w myśli dodaje: Kiedyż się skończy to nieszczęsne pompowanie naszych kieszeni! Bo dla inteligentnego ogółu nasze organizacye społeczne to „nowa plaga".

Światło przenika tylko przez materyę przezroczystą. Najoczywistsza prawda nie przedostanie się do umysłów, które nie przepuszczają jej promieni. Chociażbyśmy tysiąc razy dowiedli, że całe niemal bogactwo kultury narodów pierwszorzędnych jest wytworem pracy stowarzyszonej, nie namówimy do niej tych, którzy jej wartości i wpływu nie rozumieją. A nie jest to u nas niepojętność przypadkowa. Starsze pokolenia naszej inteligencyi sparaliżowała niewola, młodsze — rozpaliła rewolucya, dopiero więc następne może będą zdolne do natężonych trudów rozwojowych. Dla organizacyi społecznych, działających prawidłowo, produkcyjnie, równomiernie każdą ze swych części, nie posiadamy obecnie odpowiedniego materyału ludzkiego. Umiemy tylko bądź znosić jarzmo cierpliwie, bądź łamać je gwałtownie; ale łączyć się bez jarzma nie potrafimy.

Często odzywa się dziwna a pozornie słuszna obrona naszej nieudolności, usprawiedliwiająca ją tem, że niepodobna wymagać poświęceń dla instytucyj społecznych od ludzi, obarczonych ciężarami zawodowymi. Trzeba płacić! Czy ci adwokaci usług opłacanych nie wiedzą, że cały samorząd Anglii spoczywa na bezinteresownej pracy obywateli? Jeżeli zaś najbogatszy w świecie naród wymaga od nich takiej ofiary, to cóż powiedzieć o nas, nieszczęśliwych nędzarzach? Ktoś obliczał publicznie, ile darowywa prelegent jednym odczytem na cel dobroczynny, ile członek komisyi obradującej raz na tydzień. Setki rubli. Przypuśćmy. Ale niechże ten sam buchalter obrachuje, ile tracą skazani bodaj tylko na kilkoletnie wygnanie, ile traci on sam, żyjąc w społeczeństwie, niemogącem zadość uczynić najelementarniejszym potrzebom kultury. Obwijanie uczuć obywatelskich w banknoty, wogóle przenoszenie do naszej nędzy miar zagranicznego dostatku jest manipulacyą nietylko brutalną, ale niedorzeczną. Tu nie chodzi o wyzyskiwanie jednostek w imię sielankowego sentymentalizmu, ale o nakładanie zwiększonego podatku ofiary na wszystkich, mogących go złożyć w imię dobra narodu, który tylko tym sposobem zdoła uratować swój byt i odrobić zaległe prace rozwoju.

Nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że jego losy zależą przedewszystkiem od masy i siły naszych stowarzyszeń. Bo niema dziś na kuli ziemskiej społeczeństwa, któreby do takiego stopnia pozostawione było samemu sobie i musiało liczyć wyłącznie na siebie, jak nasze. Nic nam nie pomogą wszystkie konstytucye, autonomie, samorządy, swobody osobiste, jeżeli nie stworzymy żywej, zdrowej, gęstej tkanki społecznej, którą stanowią związki organiczne sił jednostkowych. Obecne są zaledwie zbiorem dekoracyj dla sceny, na której odgrywa się farsa prasy kulturalnej.

Poseł Prawdy.

Reformizm, tredunionizm, kooperatyzm na Zachodzie.

(Referat czytany w P Z P)

(Dokończenie).

Niemieckie związki zawodowe, lewe, naogół trzymają się taktyki reformistycznej. Jak na Niemcy, to jest jak na państwo absolutystyczne, gdzie proletaryat ma do spełnia wielkie zadanie polityczne wprowadzenia demokracyi — taktyka ta jest może nawet za oportunistyczna. Na przykład kongres niemieckich związków zawodowych w Manheimie potępił myśl powszechnego strejku politycznego na rzecz reformy głosowania w Prusach. Zdobycze ekonomiczne związków niemieckich też nie są wielkie, zresztą wobec zachwianego stanu przemysłu

---

wojska, uzbroił się i znienacka napadł na niego, spustoszenia okrutne uczynił, rozproszył nieprzygotowanych wojowników, a samego sułtana wziął do niewoli i osadził w wieży warownej i niedostępnej.

Szejk. Już lepiej zamilcz, Zaro, straszne twoje opowiadanie (*znużonym tonem*).

Zara. Już kończę, niewiele mam o sułtanie powiedzieć, posłuchaj o jego losie, panie! (*ściemniło się, Zara mówi wolniej i jednostajniej, jakby sama była senna*).

Oto poszedł Król indyjski do wieży, aby urągać wrogowi pokonanemu, zabawić się jego rozpaczą: ale on znalazł sułtana spokojnego i obojętnego na swoje położenie. On nie wiedział, że jedyną obawą Fajzulli było, żeby mu nie odebrano pierścienia opalowego; w dzień ukrywał on go na łonie swojem, a w nocy zatapiał w nim wzrok zakochany, aż opal znów się rozpływał i w dziewicę tęczową się zamieniał: z nią się Fajzulla unosił, gdzie pragnął, w światy nieznane, nad horyzonty ludzkie, do jej pałaców leciał, i — był z nią szczęśliwy.

Król indyjski zażądał wykupu olbrzymiego za sułtana. Odstąpili mu najlepszy szmat państwa, oddali mu nagromadzone klejnoty, złoto, kamienie i niewolników rzesze, i puścił wtedy król na wolność Fajzullę; otworzyły się drzwi wieży i przyszli po niego wysłańce jego kraju, a padli mu do nóg, nie mając odwagi patrzyć w oczy temu nieszczęśliwemu, co taką klęskę znieść musiał; lecz on spokojnym był i obojętnym, i tak podążył z niemi do kraju swego.

A w domu matka i kobiety przybrały strój biały żałobny, i płacz i lament nad losem jego smutnym rozbrzmiewał, gdy on wkraczał w podwoje spustoszone pałacu swego. Lecz pogodne oblicze jego było i uśmiech tajemniczy usta mu zdobił, gdy matkę witał. „Allah jest wielki", rzekł pobożnie i cicho dodał: „bądź spokojna, matko, ja szczęśliwy jestem!"

(Wchodzi Hanum, przysłuchuje się i przygląda; Zara mówi wolniej i ciszej; ściemniło się zupełnie; Szejk słucha zasępiony, patrząc na swój pierścień).

Zara. Bo sułtan nie trapił się w dzień znikomością władzy swej i bogactwa swego: on czekał nocy i powrotu Mai. W jej objęciu nikłem, w jej wędrówkach lotnych, w wyżynach zawrotnych znalazł to, czego naprożno szukał w bogactwie, sławie, władzy, w miłości, — znalazł tam szczęście. (*pauza*).

Hanum. Znużyłaś Szejka opowiadaniem, Zaro; patrzcie, sen mu powieki obciąża, głowa chyli się na poduszkę...

Niech spocznie spokojnie, idźcie do ogrodu grać i śpiewać, albo słuchać słowików.

Hanum i Leila wychodzą na lewo wewnątrz domu, reszta do ogrodu, ostatnia Zara).

Scena 3-cia.

Szejk na wpół leżący, senny, jakby zahypnotyzowany opowiadaniem. Za sceną odzywa się bardzo cicho wschodnia strunna muzyka, rytmiczna i dziwaczna. Ciemno; księżycowe światło przez okno wdziera się słupem; w tem świetle zjawia się kobieca postać, w przezroczystych welonach kolorowych,—Maja; w takt muzyki przechyla się, tanecznym ruchem ślizga się wolno przed Szejkiem; gestem do niego przemawia, chce go welonem otulić, na ruch jego oddala się, zbliża do wyjścia, gestem go żegna.

Szejk. (*podnosi się, śledzi namiętnie jej ruchy, nakoniec zrywa się*). Majo! zostań, zostań, błagam, Majo!...

Księżycowe światło gaśnie, postać znika, zasłona szybko opada.

J. St. Komorowski.

niemieckiego, co z kolei rzeczy wynika z ogólnej karkołomnej polityki tego państwa, nie mogą być zbyt wielkie. Natomiast zależność niby bezpartyjnych związków zawodowych od partyi socyalistycznej jest znaczna, a krytyka podstawowych dogmatów ortodoksyi słabsza, niż gdziekolwiek. Słowem biorąc skalę zachodnio-europejską, niemiecki syndykalizm reformistyczny uznać wypadnie za niesłychanie oportunistyczny, tak pod względem politycznym, jak i pod względem ekonomicznym. Od tego ogólnego tła odcina się nieco odważniejsza grupa „syndykatów lokalnych" w Berlinie, prowadzona przez d-ra Friedeberga, która nosząc miano anarcho-socyalistycznej, niemniej ma wszystkie cechy demokracyi rewolucyjnej, bo dąży w Prusach, w państwie despotycznem do rewolucyi wojskowej na rzecz demokracyi. Grupa ta jest słaba i nieliczna.

Naogół więc w ruchu zawodowym zachodnio-europejskim przeważa syndykalizm reformistyczny, w Niemczech nawet oportunistyczny. Syndykalizm ten wprowadza w życie wszystkie te instytucye rozjemcze, które łagodzą stosunek pracy i kapitału, nie zapoznając jednak bynajmniej interesów pracy, szerzy kulturę ogólną wśród sfer robotniczych, niemniej jak i kulturę techniczną, a na gruncie politycznym popiera wszystkie te partye polityczne, które pragną przeprowadzić reformy dla klasy robotniczej pożądane. Stosunek organizacyi zawodowej jest wszędzie udzielny wobec partyi politycznych. Związki zawodowe są wszędzie politycznie bezpartyjne, prawo należenia do nich służy wyłącznie robotnikom. Poza tem robotnicy należą do tej partyi politycznej, jakiej program im odpowiada.

Pozostaje nam do rozpatrzenia ruch niezmiernie doniosły, ruch przeważnie praktyczny, choć nie brak mu i wybitnych teoretyków, ruch również pochodzenia angielskiego. Mówię o *kooperatyzmie*. Ideowo kooperatyzm wiąże się z doktrynami, raczej z doświadczeniami społecznemi Roberta Owena. Dzisiaj przylepiono Owenowi etykietę socyalisty utopijnego. Według mnie był to poprostu demokrata, humanista, przejęty ideą braterstwa wielkiej rewolucyi, który po szeregu nieudanych doświadczeń wreszcie zrobił udane doświadczenie społeczne, chociaż jego osobistego życia już nie starczyło, aby je rozwinąć. Myśl Owena zapłodniła umysły czterech prostych robotników z miasteczka Rochdalle. Działo się to w roku 1844-ym, po upadku czartystów, w chwili strasznej dezorganizacyi, nędzy i klęski angielskiego ruchu robotniczego. Owi czterej robotnicy z Rochdallu zrobili najprostsze doświadczenie społeczne, jakie sobie można wyobrazić, a mianowicie zamiast, żeby każdy z nich kupował naftę osobno na funty w sklepikach, kupili oni razem beczkę nafty u hurtownika i podzielili się nią sami pomiędzy sobą. Oczywiście osiągnęli pewną różnicę w porównaniu z tem, co byliby zapłacili w sklepikach. Tę różnicę uznali za wspólną własność i posiłkując się dalej tą metodą wspólnych zakupów i oszczędzania różnie zdobyli kapitalik potrzebny do wynajęcia lokalu, w którym urządzili sklepik spożywczy, a tymczasem z czterech zrobiło się ich trzydziestu kilku. Miasteczko Rochdall zanosiło się od śmiechu, gdy otwarty został ów sklepik w małym domku, którego właściciele głosili, że za jego pomocą zmienią świat. Obecnie angielskie kooperatywy liczą 2 miliony przeszło członków (2,153,185 w r. 1905-ym), sprzedały towarów za 1 miliard 540,614,000 fr. (r. 1905) i osiągnęły 251 milionów czystego zysku. Angielskie kooperatywy nie zatrzymały się tylko na stronie handlowej; gdy sklepy spożywcze stanęły na mocnych nogach, przystąpiono do budowy własnych fabryk, które miały zapewniony rynek zbytu w sklepach kooperatywnych. Przystąpiono również do zwalczania wyzysku w chałupnictwie, wprowadzając działy krawieczyzny i galanteryi, i proponując chałupnikom pracę na rachunek kooperatywy. Jednocześnie wprowadzono dział ubezpieczeń od wszelkich możliwych wypadków życiowych, w tym celu przyjmowano zarówno oszczędności skądkolwiek pochodzące, jak i przeznaczano część czystego zysku. W ten sposób wyrósł olbrzymi organizm nowego układu ekonomicznego, zawierający w sobie handel, produkcyę i wzajemną pomoc. Przestrzegano przytem następujących zasad: zarząd jest wybieralny przez powszechne głosowanie, głosowanie jest równe, każdy członek, bez względu na ilość wkładów, jakie porobił, ma jeden głos, nikt nie może mieć dwóch głosów i nikt nie może być pozbawionym głosu. Każdy pracownik kooperatywy, bądź w sklepie, bądź w fabryce, bądź w domowym warsztacie zależnym od kooperatywy, musi być obowiązkowo członkiem kooperatywy, tak, aby będąc pracownikiem był jednocześnie swoim własnym pracodawcą. W rozwoju kooperatyw przestrzegano, aby nie robić kooperatyw wytwórczych dopóki kooperatywy spożywcze nie stoją na mocnych nogach; pilnowano dalej, aby nic nie dawać na kredyt: wszystko się płaci gotówką: natomiast wprowadzono dział: „chleb dla biednych, dla bezrobotnych, lub strejkujących", które traktowano, jako datki bezzwrotne. Dywidenda wypłaca się nie od włożonych pieniędzy przez członka, lecz od dokonanych zakupów. Znaczną część czystego zysku przeznaczano nietylko na sklepy, domy, fabryki itd., lecz i na kluby, czytelnie, sale gier i zabaw.

Jak widzimy, mamy tu do czynienia z olbrzymią instytucyą społeczną zupełnie nowego typu, obejmującą całokształt życia ludzkiego, ułożonego w zupełnie nowe formy. Znika różnica pomiędzy pracodawcą i pracownikiem, spożywca jest jednocześnie wytwórcą, a zasadą organizacyjną tej nowej instytucyi jest jak widzimy zupełna równość jednostek składających ją. Ideologia kooperatyzmu, opierając się na już osiągniętych rezultatach, dochodzi do przeświadczenia, że dalszy wciąż potężniejący rozwój kooperatyw obejmie całe społeczeństwo; w ten sposób dokona się to, co anglicy nazywają „pokojową rewolucyą", t. j. przemiana kapitalistycznego ustroju ekonomicznego w kooperatywy. Można oczywiście wątpić, czy tak się stanie, — lecz niepodobna twierdzić, iż jest to złudzeniem, bo niesłychanie szybki rozrost kooperatyw daje prawo do robienia podobnych przypuszczeń. Rozwój kooperatyw w daleko silniejszym stopniu, niż inne czynniki, powstrzymał koncentracyę kapitału. Kooperatywy ułatwiają swoim członkom robienie oszczędności, które robi się bez żadnego poświęcenia — bo cały majątek kooperatyw pochodzi z różnicy, pomiędzy ceną, jaką się płaci w prywatnym sklepiku, a tą, jaką pobiera kooperatywa. Zysk drobnych i wielkich kupców staje się zyskiem spożywców — oto tajemnica powodzeń kooperatywy, a kupcy, pozbawieni swoich sklepów, są pożądani, jako pracownicy handlowi kooperatywy, czynnik konkurencyi, wymagający tak wielkich wysiłków ze strony prywatnego kupca, w kooperatywie nie istnieje, o ile członkowie zechcą się w jej sklepach zaopatrywać w towary. Dla tego, bez przesady można powiedzieć, że los kooperatywy zależy od kobiety, bo ta przeważnie dokonywa zakupów domowych. Wracając do oszczędności — angielska klasa robotnicza ma złożonego kapitału w kooperatywach 1.180 milionów franków: pieniądze te zostaną użyte na dalszy rozwój kooperatywy. Lecz niezależnie od tego robotnicy angielscy złożyli w kasach oszczędności, w kasach kooperatyw budowlanych, w kasach wzajemnej pomocy, w kasach zawodowych przeszło 9 miliardów franków [1]) i te sumy przeważnie idą w zwykły obieg przemysłowo-handlowy, to znaczy podsycają gospodarkę prywatną. Jednak należy się spodziewać — a kasy związków zawodowych już zrobiły początek że sumy te przejdą wszystkie do kooperatywy i wówczas będą podsycać nową istotnie sprawiedliwą i istotnie robotniczą produkcyę. Nie zapominajmy, że ogólną zasadą kooperatyw, zasadą przestrzeganą z całą ścisłością — jest ta, aby pracownik kooperatywy pracował najwyżej 8 godzin dziennie i otrzymywał t. zw. wage fund, t. j. rozumnie wystarczające wynagrodzenie.

Ideologia kooperatywy, jak widzieliśmy, ma na celu całkowite przeobrażenie społeczeństwa przez organizacyę spożycia najprzód, produkcyi później. Taka jest czysta ideologia kooperatystów, na gruncie której stoją wszystkie kooperatywy angielskie, oraz znaczna część niemieckich i francuskich. U nas kierunek ten reprezentuje praktycznie i teoretycznie Stanisław Wojciechowski i wydawane przez niego pismo *Społem*. Teoretykiem kierunku jest Edward Abramowski, którego niewielka praca „Idee społeczne kooperatyzmu" ma bardzo doniosłe znaczenie. Kooperatyści wierzą bezwzględnie w swoje siły. Nie żądają żadnej pomocy od żadnego państwa; pragną jedynie, aby im państwo nie przeszkadzało w robocie. Kładą oni ogromny nacisk na urobienie nowego typu psychicznego człowieka gdyż ich zdaniem nowe instytucye mogą powstawać tylko w miarę tego, jak powstają nowi ludzie. Jeżeli instytucye społeczne wywierają wpływ na charakter człowieka, to niewątpliwie daleko donioślejszym jest wpływ jednostki na instytucyę. Instytucye społeczne są tem, czem je uczynią członkowie. Rozwijając więc nowe instytucye, trzeba jednocześnie tworzyć nowych ludzi. Jedni i drudzy muszą nabierać nowych zdolności do wykonywania nowych funkcyj, które mogą korzystnie zastąpić dawne instytucye, wykonywujące te same funkcye. W ten sposób tworzy się nie tylko coś nowego, lecz i coś lepszego. Handel prowadzony przez kooperatywy jest lepszy, niż handel sklepikarski, bo towary są lepsze i tańsze, pracownicy lepiej płatni, organizacya sprężystsza. Spożywca zyskuje na sklepie kooperatywnym, więc go popiera; a w końcu drobny sklepikarz, początkowo zawzięty wróg kooperatywy, sam idzie do niej na urząd sprzedającego. Nowa instytucya musi bić dawną lepszą organizacyą, większą sprawnością, większą sumą oddawanych usług. To samo dzieje się, gdy kooperatywa ze spożywczej przejdzie w wytwórczą: fabryki kooperatywne, mając gotowy rynek zbytu w sklepach, odrazu rozwiązują niesłychanie trudną kwestyę organizacyi handlu i mogą łatwiej, niż prywatne fabryki, uregulować produkcyę. Wreszcie w fabrykach tych, prowadzonych na wielką skalę i obliczonych na wielką produkcyę, mogą być odrazu zastosowane najlepsze udogodnienia i wynalazki techniczne: jeżeli technika domowa lepiej się nadaje do jakiejś gałęzi produkcyi, to nie zmienia to rzeczy, bo i technikę przemysłu domowego można dać odrazu w jej najdoskonalszej postaci. Wreszcie demokratyczna zasada wybieralności na wszystkie wyższe stanowiska zarówno handlowe, jak i przemysłowe — zmusza szeroki ogół spożywców i wytwórców do bardzo wysokiego podniesienia poziomu odnośnego wykształcenia: tylko pod tym warunkiem demokracya nie przetworzy się w oligarchię. Ogół musi stać na wysokim poziomie, aby módz kontrolować, nauczać, zmieniać swoich mandataryuszów. Oczywiście ogół ma prawo czynić to zawsze, lecz czynić to będzie z korzyścią dla siebie i dla rozwoju jedynie w tym wypadku, gdy nabierze odpowiednich zdolności do wykonywania tej funkcyi.

[1]) Alemanach de la Cooperation za rok 1906.

Tak więc ideologia kooperatywy jest nietylko ideologią stopniowego przeobrażenia ustroju ekonomicznego przez tworzenie nowych instytucyi, które usuwać będą stare instytucye, lecz jest też jednocześnie ideologią tworzenia nowego człowieka, któryby wypełnił ramy nowej organizacyi.

Niezależnie od kooperatyw, przenikniętych duchem czystego kooperatyzmu, t. zw. w języku codziennym kooperatyw bezpartyjnych, — istnieją również kooperatywy partyjne, założone przez jakieś stronnictwo, dla jego celów. Tego rodzaju kooperatywy niekiedy osiągają też wysoki stopień rozwoju, jak n. p. belgijskie kooperatywy, założone przez stronnictwo socyalistyczne, i złożone z członków, którzy przeważnie są socyalistami. W Belgii również są kooperatywy katolickie, które rozwijają się mniej dobrze. O partyjności kooperatyw można powiedzieć to samo, co i o partyjności związków zawodowych. Tu, jak tam, siłę stanowi wzrastająca ilość, jakość i łączność. Podział jest zawsze szkodliwy — i przy partyjności związków zawodowych wychodzi na korzyść wielkich przemysłowców;—przy partyjności kooperatyw — na korzyść wielkich i drobnych handlarzy. Jednak daje się zauważyć w tym kierunku znamienny ruch. Niejednokrotnie widziano, w Niemczech n. p. w czasie strejków westfalskich 1901-go r., że związki zawodowe katolickie łączyły się ze związkami, pozostającymi w bliższych stosunkach z socyalistami, w chwili, gdy wspólne żądanie było postawione w ten sposób, iż ogół robotników uznał je za słuszne. To faktyczne współdziałanie robotników, na gruncie wspólnego interesu wbrew woli partyi, które im dopomagały do organizacyi związków, powtarza się często. Tak samo interes spożywców, wysunięty na pierwszy plan w kooperatywie, wymaga, aby działalność wszystkich kooperatyw była skoordynowana: ułatwia to niezmiernie zakupy, które zawsze są tańsze na większych ilościach, pozwala wprowadzić różne ulepszenia itd. To też, zarówno w Niemczech, jak i we Francyi kooperatywy partyjne niejako grawitują koło kooperatyw bezpartyjnych: korzystają z ich doświadczenia, z ich usług, z ich hurtownych zakupów niekiedy. Kooperatywy bezpartyjne chętnie to wykonywują, wierząc, że samo funkcyonowanie kooperatyw zniewoli je do zespolenia się. Oczywiście na tych wszystkich tarciach traci się masę sił i kooperatywy kontynentalne tak partyjne, jak i bezpartyjne stoją bez porównania niżej od angielskich, wyłącznie bezpartyjnych.

Nie podejmuję tu bynajmniej krytyki ideologii czystego kooperatyzmu: nie mogę podjąć krytyki ideologii, którą w znacznej części podzielam. Mogę zwrócić jedynie uwagę, że kooperatyści nie doceniają roli państwa. Nie należy jej przeceniać, lecz niepodobna jej również sprowadzać do zera. Niemniej, jako idea, jako cel naszych odległych dążeń, wyprowadzony z dotychczasowego rozwoju, należy niewątpliwie widzieć w organizacyi państwa, choćby najlepszego, nie jakąś opatrzność wszystkiem się trudniącą, lecz jedynie dodatek do samorzutnej organizacyi wolnych stowarzyszeń, — a w szeregu tych wolnych stowarzyszeń kooperatywa zajmuje bezsprzecznie pierwsze miejsce, tak ze względu na już osiągnięte rezultaty, jak i na te nowe zdolności, nowe charaktery i nowych ludzi, które wytwarza ku swojemu i ogólnemu pożytkowi.

Jerzy Kurnatowski.

Nauka i Sztuka

ZE SZTUKI.

Dramat i komedya. Premiery w maju. „Samson" w teatrze Małym. Gościna p. Trapszo-Chodowieckiej i p. Adwentowicza w „Rozmaitościach".

Mały i Rozmaitości rozpoczęły sezon wiosenny niby farsą, niby komedyą, — owym specyficznym w świecie kulis „article de Paris".

„Nowa Circe" (w oryginale „Wachlarz") ulubieńców obecnej dyrekcyi Rozmaitości pp. Caillavet'a i de Flers'a, podobała się więcej i utrzymała się na repertuarze znacznie dłużej, niżli „Pawie pióra" Bisson'a w teatrze Małym. Dlaczego? Któż kaprysy publiczności odgadnie? Obie „komedye" są mniej więcej... niezłe, obie grano dobrze i obie, w gruncie rzeczy, nie warte były tego zachodu, trudu i — miejsca w repertuarze.

Przed przeniesieniem się w tygodniu ubiegłym do dużej sali Filharmonii, zapoznał Warszawę teatr Mały z *efektowną pracą* H. Bernsteina, z „Samsonem". Znany autor „Złodzieja", „Wichury" i tylu innych sukcesów paryskich buduje swe sztuki na zimno, scena po scenie i akt po akcie, nie tyle, by wzruszyć widzu, lub go porwać, lecz, by go zająć i podniecić a, zwłaszcza, „zbudować" pole dla popisu aktorskiego,— dać w sztuce świetne role, lub choćby rolę. Dla tego też Bernstein stał się ulubieńcem wszystkich aktorów — wirtuozów, Francuzów i nie Francuzów.

I „Samson" nie stanowi w tym względzie wyjątku.

Znowu efektowny temat, wzorowa technika, poczucie sceny, werwa i barwność dyalogu, znowu świetna rola (tym razem męzka), znowu dużo „teatru", a mniej szczerej *sztuki*.

„Samsona" wystawiono w teatrze Małym *możliwie* starannie, ale rzecz sama wymaga zasadniczo świetnej oprawy, na którą tylko duża i zasobna scena zdobyć się może. Dziwnie skromnie wyglądał na przykład, ów apartament królewski — w hotelu paryskim, który potentat giełdowy, „Król miedzi", Samson — Brachard zajmuje chwilowo po panujących i w którym, kosztem własnej ruiny majątkowej, miażdży moralnie i materyalnie kochanka swej żony.

Wykonawcy, zwłaszcza bohaterowie trójkonta — p. Duninówna (żona), pp. Staszkowski (Brachard) i Kuncewicz (kochanek) starali się wyzyskać „efekty" sztuki i roli— jaknajudatniej.

W Rozmaitościach, w braku planu i ładu stałego, przynajmniej wartościowe występy gościnne... Dzięki i za ten szczęśliwy wyjątek ze smutnej reguły!

W tygodniu ubiegłym ukończyła występy „gościnne" do niedawna ulubienica publiczności warszawskiej, obecnie lwowskiej, p. Trapszo-Chodowiecka. Nic się nie zmieniła. Jest, jak i była „urodzoną" aktorką, jedną z najwybitniejszych na scenach polskich. Grała u nas ekscentryczną Theę w „Łodzi kwiatowej", lekkomyślną żonę w „Ich czworo", szaloną Julkę w „Sieci", przebiegłą panią Cheveley w „Mężu idealnym".

Oto obszerna skala repertuaru artystki lwowskiej.

Po p. Chodowieckiej rozpoczął występy drugi wybitny gość lwowski, p. Karol Adwentowicz; słusznie powiedzieć sobie może że przyszedł, zagrał i — zdobył odrazu publiczność warszawską, która odzwyczaiła się już w Rozmaitościach od niezwykłych wzruszeń artystycznych i nie szablonowego repertuaru.

Na realizm artysty lwowskiego w „Upiorach" Ibsena można się godzić, lub nie, przyznać jednak należy bezsprzecznie, że Oswald p. Adwentowicza — to kreacya istotnie *twórczego* artysty. Coprawda, w interpretacyi p. Adwentowicza jesteśmy przedewszystkiem pod wstrząsającem wrażeniem *pochodu* choroby Oswalda, coprawda bardziej psychiatrya, niżli *psychologia* tego ponurego dramatu dziedziczności narzuca się uwadze widza, ale oryginalna silna indywidualność artysty opanowuje audytoryum, nawet przeciwników zbytnio realistycznych efektów.

Znakomitemu artyście lwowskiemu, prócz „Upiorów", zawdzięczamy również wznowienie — po latach — Hamleta.

Stanisław Barycz.

* * *

„Hamlet" w Warszawie w 1908 roku wystawiony został po 9-letniej przerwie. Z trzydziestu kilku dramatów, jakie napisał Szekspir — „Hamlet" zajmuje zupełnie wyjątkowe i najwybitniejsze stanowisko dla wielu powodów. Przedewszystkiem, należąc do późniejszych utworów wszechgenialnego poety, utworów „ponurych", gdy pierwszą ich kategoryę tworzy Romeo i Julia, Kupiec Wenecki, Wesołe Kumoszki z Windsoru, Wszystko dobre, co się dobrze kończy — rzeczy jasne, pogodne, — ma „Hamlet" w najwyższym stopniu estetyczny umiar ponurości, — w porównaniu z takim na prz. Andronicus'em, gdzie scena zamienia się w rzeźnię; po drugie dlatego, że w Hamlecie Szekspir jest zupełnie oryginalny, gdy w wielu innych utworach korzystał z Marlowe, Kyd'a, Peele'a, Lilly; wreszcie dlatego, że w Hamlecie Szekspir wcielił się sam, w Hamleta włożył samego siebie, całą swoją uniwersalność, „o której" — jak mówi Goethe, — „nie można wcale mówić, gdyż wobec niego wszystko jest niewystarczające".

Ponieważ Hamlet pomimo 3-ch wieków pracy nad nim takich mózgów jak Russell, Coleridge, Lowel, Lewis, Symmonds, Lessing, Goethe, Schlegel, Gervinus, Rümelin, Werder, Voltaire, Chataubriand, Guizot, Hugo, Montegut, Taine, Kraszawski, Krasiński, Koźmian, Tarnowski, Struve, Spasowicz, Matlakowski — pozostał zagadką, — jest więc koniecznością wprost pozostawić absolutną swobodę inteligentnemu i utalentowanemu aktorowi w interpretacyi księcia, i jest megalomanią ze strony krytyka wskazówki jakieś co do pojmowania duszy Hamleta aktorowi dawać.

Typy wieczne — jak Hamlet, Falstaff, Romeo — odradzają się w każdem pokoleniu, i są rozumiane li tylko tak, jak organizacya psychiczna ludzi danej epoki rozumieć pozwala.

Adwentowicz zrozumiał to doskonale i dał czysto indywidualnego Hamleta, jednolitego od początku do końca, konsekwentnego w całej bezbrzeżnej swej ekstrawagancyi.

Punkt ciężkości całej tragedyi — walkę przeczystej, szlachetnej duszy ze zbrodniami otoczenia, które jego samego do zbrodni pchają, — którą Szekspir przepięknie, jak prawdziwy esteta, uwypuklił w scenie modłów króla, gdy Hamlet dobywszy szpady, pchnąć nią ma zbrodniarza, lecz wstrzymuje go instynktownie refleksya rycerza-estety, brzydzącego się skrytem zabójstwem, — podkreślonym został przez Adwentowicza misternie.

Hamlet udawał waryata dla jednego tylko celu, dla jednego momentu — zdemaskowania Klaudyusza podczas przedstawienia teatralnego; i w tej tylko scenie Adwentowicz rzeczywiście robił wrażenie człowieka „grającego" szaleńca. Po za tem był szczerym oryginałem, genialnym dziwakiem, milionerem ducha, nie z tuzina, — trzynastym.

Nawet wówczas Hamlet - Adwentowicz nie był waryatem, gdy widział w pokoju swej matki ducha ojca, niewidzianego i niesłyszanego przez przytomną matkę. I tu i w całej sztuce dał nam artysta przeczulonego smutnika, zekstazowanego melancholika, kochającego syna, — człowieka skomplikowanego.

Stosunek Adwentowiczowskiego Hamleta do Poloniusza jest stosunkiem człowieka pięknego do wrogiego swemu typowi typu parodyi ludzkiej. Że przeszył kogoś szpadą za kotarą, kto nie był królem — to szkoda. Ale że to był Poloniusz, to dobrze. Takie szczury winny być tępione. Ludzkość na tem zyska.

Tak Adwentowicz rozumie Hamleta. Dobrze, czy źle, tak jak „ja", czy tak jak „on", mniejsza o to. Hamlet Adwentowicz jest skończenie artystyczną kreacyą, pełną, wszechstronną, estetyczną i silną.

Poza Adwentowiczem — wystawa niestaranna. Jakieś maurytańskie i bizantyjskie sale, coś w rodzaju kaplicy greckiego obrządku, duch z szopki (w głosie, bo w kolorze świetny), alpejskie góry na równinach Danii (u Szekspira „stoi" wyraźnie — „Plain in Denmark"), ogólne deklamowanie (za wyjątkiem Rapackiego, Leńczewskiego, Wojdałowicza), Ofelia bez wrażenia zaprzepaszczająca śliczne „o, what a noble mind is here o'erthrown" po wielkim, świetnym monologu Hamleta, poprawianie (!) Szekspira (!) à propos „rozczochranej" królowej, czego w oryginale Hamleta zgoła nie mogłem się dopatrzeć.

Wszystko to trudne jest zaiste do zrozumienia, i musiało być przykre dla Adwentowicza, w którym z przyjemnością witamy tak rzadko niestety w Warszawie widywanego odtwórcę Szekspira, ojca nowożytnej literatury, epoki w jej historyi, — jak Iliada i Boska Komedya tylko.

Gustaw Olechowski.

„Okręt-Widmo" Ryszarda Wagnera. Występy p. Bellincioni.

Przyczynkiem charakterystycznym do dziejów naszej kultury muzycznej jest fakt, że operę R. Wagnera „Okręt-Widmo" (Der Fliegende Holländer), poznała Warszawa jako *premierę* (!) w bieżącym dopiero sezonie, podczas gdy utwór ten, jeden z pierwszych, Wagnera, ujrzał światło kinkietów w Dreznie r. 1843, a następnie obiegł większe i mniejsze sceny wszystkich krajów. Jest to fakt tem charakterystyczniejszy, że ma miejsce w Warszawie, która poznała już inne dzieła genialnego muzyka z późniejszej doby jego twórczości, a więc dla szerszego ogółu mniej zrozumiałe niż wystawiona ostatnio opera „Okręt-Widmo", która swą głęboką a jednocześnie przystępną melodyjnością powinna była właśnie torować drogę dla reformatorskich dążności, genialnego poety muzyka. To też za wielki błąd poczytywać należy, i za brak zrozumienia zadań opery, jako instytucyi kulturalnej, ze strony jej kierowników, że rozpoczęli cykl oper Wagnerowskich, nie w porządku w jakim się talent Mistrza z Bayreuth rozwijał. Nic więc dziwnego, że późniejsze dzieła Wagnera, wystawiane na gruncie nieprzygotowanym odpowiednio, spotykały się z zupełnem niezrozumieniem, lub obojętnością ogółu. Tem większe uznanie należy się obecnej Dyrekcyi za poprawienie tego podstawowego błędu, i za staranne tudzież w granicach możliwości stylowe wystawienie tak pięknego dzieła.

Jak wiadomo, „Okręt-Widmo" stanowi przełom w twórczości Wagnera i jest zarazem chwilą stworzenia nowego kierunku w dziedzinie przyszłego dramatu muzycznego. Znajdujemy tu kontrast jaskrawy, łamiących się dwóch stylów: *przestarzałego*, którego celem błyskotliwa forma estetyczna, choćby najdalsza od idei dramatu, i *nowego* do życia przez Wagnera powołanego, gdzie dźwięk każdy łączy się nierozerwalnie i odpowiada myśli w formę słowa ujętej. Ekspresyjność muzyki idzie tu ściśle obok tekstu literackiego, każdy jej wyraz, krok każdy artysty znajduje się w zupełnej zależności od danego momentu muzycznego, którego chybić nie wolno. Dwa te rodzaje w tak świetnem zestawieniu wskazują — jaką być nie powinna muzyka dramatyczna, i do czego dąży dramat muzyczny.

Wagner zarysowywuje się już w dziele tem wyraźnie, jako *reformator*, chociaż czyni to ostrożnie, nie zmieniając w zupełności dotychczasowego porządku, a jednak, gdy porównamy je z współcześnie prawie napisaną operą „Rienzi" widzimy jasno zwrot nowy—i znajdujemy cechy, charakteryzujące późniejszą twórczość Wagnera. Nie ma tu wprawdzie jeszcze jego późniejszych filozofii muzycznych, ale łatwo spostrzedz różnicę przedewszystkiem w libreciе, w którem jest już Wagner poetą silnym i oryginalnym, i w którem jest już akcya wyraźna, dramatyczna i ruch nieustający. W operze tej wielobarwnością muzyki orkiestrowej, wykazał Wagner bezprzykładne dotąd poczucie natury, której wszystkie odgłosy, szepty i tajemnice potrafił zakuć w harmonię dźwięku — a tem zawładnięciem ducha przyrody wyróżnia się z pośród poprzedzających i współczesnych mu kompozytorów.

Wprawdzie sam poemat dramatyczny „Okręt-Widmo" nie sięga jeszcze wyżyn, do których doszedł później, począwszy od Tannhausera na Parsivalu kończąc — ale już i tu librecista z kompozytorem ściśle są złączeni.

Znajdujemy tu jeszcze silne reminiscencye faktury włoskiej, lecz obok dawnej teoryi mamy nową technikę, i tym to wszystkim motywom przypisać należy — że opera ta jest jedną z najpopularniejszych, i ma zwolenników zarówno wśród szerokiego ogółu, jak i wśród najpoważniejszych Wagnerzystów, a sceny takie jak — Bayreuth, Monachium, Drezno i Berlin, stale ją na repertuarze utrzymują.

Pierwsza myśl stworzenia opery „Okręt-Widmo" (w dosłownym przekładzie — „Latający Holender") powstała u Wagnera, gdy opuściwszy Rygę—i stanowisko dyrektora orkiestry, jakie tam miał, rzucił się w świat nieznany (Londyn, Paryż) dla zdobycia bytu lepszego i sławy, do której czuł w swej potężnej duszy—że miał prawo niezaprzeczone. Wówczas to, podczas podróży morzem, wśród burzliwej nocy, usłyszał legendę o nieszczęsnym tułaczu, opowiadaną przez marynarzy, gdy zaś w dwa lata później, w Paryżu, zawiedziony w swych nadziejach, opuszczony przez ludzi, poczuł się jak ów Holender, zbłąkany na morzu życia, szukający spokoju i odkupienia, legenda owa hypnotycznie, jak widmo losu własnego, pochłonęła wyobraźnię jego.

Stworzył więc libretto, i naszkicował operę. Atoli dyrektor opery L. Pillet nie uznał jej za godną wystawienia, a tylko nabył libretto, do którego muzykę napisał Dietsch pod tytułem „Vaisseau fantôme" i dopiero gdy opera ta wystawiona r. 1842 upadła, Wagner libretto owe znów do swojej opery użył i takową wykończył.

Legenda o Holendrze-Tułaczu, pochodzi z XVI stulecia i powstała wśród marynarzy a jest wyrazem wieku odkryć, walk rozpaczliwych z żywiołami, mściwą wizyą ludzi, którzy stawili czoło wszystkiemu. Ideą — spoczynek po burzach życia — na wzór legendowego Odysseusza w Grecyi, lub—w wiekach późniejszych: Żyda, wiecznego tułacza. — Jedyną nadzieją — śmierć.

W op. „Okręt-Widmo" sięgnął Wagner pierwszy raz do legendy ludowej, i tu pierwszy raz spotykamy apologię poświęcenia się kobiety i potęgi „wiecznej wierności", którą później widzimy przeplatającą się przez wszystkie utwory Wagnera. Tu również pierwszy raz zapoznajemy się z tematami przewodnimi (Leitmotiv), tak charakterystycznymi w dziełach Wagnera.

A teraz przejdźmy choć w skróceniu fabułę i główne momenty muzyczne tego dramatu, który w kilku obrazach zamyka najwyższe wzruszenia duszy ludzkiej i całą ponurą poezyę Oceanu.

Uwertura—zarówno jak uwertura Tannhäusera, streszcza odrazu cały dramat. W uwerturach tych posunął Wagner do najwyższego stopnia natężenia to, co można nazwać symfonią dramatyczną, stworzoną przez Glucka w uwerturze „Ifigenyi w Aulidzie".

Początkiem uwertury „Okręt-Widmo" jest szalejący huragan na Oceanie—przenikliwe tony instrumentów miedzianych, zapowiadają ukazanie się okrętu „o krwawych żaglach", pocztem przesuwają się przed nami trzy przewodnie tematy tej opery, a więc: fanfara majtków-potępieńców, jasny przejrzysty motyw „wyzwolenia„ i motyw Holendra. — Obok nich umieścił Wagner w uwerturze, jeszcze kilka poszczególnych melodyj, wśród których żywością rytmiki odznacza się chór z trzeciego aktu. Uwertura przygotowywuje nas do przebiegu dramatu, — jest w nastroju podniosła, charakterystyczna w treści i formie, a w budowie jednolita.

Akt I: Noc, burza — okręt norwegskiego dowódcy statku Dalanda przybija do brzegu, daleko od przystani i spotyka się tu z okrętem wiecznego tułacza, Holendra. Postać ta pokutująca we wszystkich „sagach" zwłaszcza północnych, jest uosobieniem tęsknoty upadłych aniołów do wybawienia, do światła. Wagner dał postaci tej, „odwieczne rysy ludzkiego istnienia", i dla tego pociągała go ona swym tragizmem. Następuje poznanie Holendra z Dalandem, który za ofiarowane skarby — przyrzeka oddać rękę swej córki Senty — i zaprasza tułacza do siebie jako gościa. Podkreślić należy w akcie tym, śpiewaną przed pojawieniem się Holendra, pieśń sternika, której nuta melancholijna ludzkiego pożądania unosi się nad uciszającem morzem.

Akt II jest jedną z pereł literatury muzycznej zwłaszcza początek jego — ze słynnym chórem prządek i balladą Senty — tudzież scena mimiczna spotkania Senty z Holendrem i duet ich pełen dramatycznego nastroju.—Scena przedstawia wnętrze chaty Dalanda, Senta śpiewa rozmarzona balladę o „tułaczu", którego portret wisi na ścianie, a towarzyszki śmieją się z rozkochania Senty w portrecie. Potem pojawia się Eryk — narzeczony Senty — oznajmiając przybycie Dalanda, a gdy zostają sami żąda zapewnienia miłości, i przyznaje się do zazdrości i niepokoju, jakie budzą w nim sny — o widmo Holendra. Gdy następnie Daland sprowadza Holendra Senta jak zahypnotyzowana wita w nim wizyę ukochaną — i przyrzeka mu wieczną miłość w której on widzi swoje wyzwolenie.

Akt III—znowu obydwa okręty na morzu—następuje punkt kulminacyjny muzycznie, walka dwóch motywów — wesołego chóru marynarzy Dalanda z chórem kobiecym i ponurych zawodzeń załogi przeklętego statku. Jest to moment po mistrzowsku obmyślany i zbudowany — gdy dwa pierwiastki przeciwne krzyżuje Wagner z niesłychaną potęgą i umiejętnością.

Zakończenie stanowi wejście Senty i Eryka, który jej czyni wymówki że innemu serce oddała — co usłyszawszy Holender uważa, że ktoś inny ma do niej prawo — a więc Senta go zdradziła, nie ma dla niego „wyzwolenia" i wraca na morze. Senta jednak nie chce mu dać odejść samemu — bo go kocha i rzuca się za nim w morze, by mu być „wierną aż po zgon". Wówczas okręt przeklęty zapada z trzaskiem a dusze kochanków—przy dźwiękach tematu „wyzwolenia" podnoszą się do Nieba.

Wykonanie opery — było na ogół bardzo dobre—na szczególne zaś uznanie zasługuje fakt, że tak trudna technika dekoracyjna aktu I i III nie traciła nawet na porównaniu z przedstawieniami opery tej jakie znam z Bayreuth i Monachium. Niefortunny tylko był pomysł inscenizacyi chóru prządek — nie w symetrycznem bowiem półkolu, a rozrzucone po izbie być powinny. Z pośród solistów na pierwszy plan wysunęła się para głównych bohaterów. Senta-Korolewicz, czarowała swym przepięknym głosem, szlachetnością jego brzmienia i grą ożywioną, szkoda tylko, że znakomita artystka zmieniła ogólnie przyjęty sposób interpretacyi tematu „wyzwolenia" w balladzie—winien on być śpiewany pianissimo, co potęguje efekt ballady — a która u nas, sądzę z powodu tego braku, przeszła bez wrażenia.

W momentach silnych porywała p. Korolewicz audytoryum. Tułacz—Zawiłowski dał sylwetkę skończenie stylową, zarówno w grze scenicznej jak i frazowaniu muzycznem,—a także i charakteryzacyi zewnętrznej. Głos jego brzmiał donośnie i metalicznie, co w połączeniu z doskonałą plastyką słowa, dawało słuchaczom pełnię zadowolenia. Doland Ostrowski śpiewał potężnym głosem i grał z niepospolitym humorem, inne zaś role wykonali z powodzeniem zasłużonem: Marya-Trąpczyńska, Eryk-Molawski i Sternik-Łowczyński.

Chóry, z wyjątkiem sceny prządek, która nie była ani dostatecznie opracowaną, ani dostatecznie subtelnie wycieniowaną—sprawiały się dobrze, nie wiem tylko komu, czy czemu przypisać należy winę, wyrzucenia z aktu III tak ważnego i interesującego momentu, jakim jest zaznaczona już poprzednio scena dwóch chórów.

Wykonanie orkiestrowe, pod dyr. bar. Rezniczka, odznaczało się wyjątkową starannością z uwzględnieniem efektów frazowania i cieniowania.

Drugim jasnym momentem na horyzoncie opery naszej — była obecna gościna Bellincioni. — Znaliśmy już ją i cenili jako Toscę, Violettę, Santuzzę, Neddę i w. in.—ale Bellincioni jako Salome to już zjawisko na scenie niezwykłe z tą kreacyą wnosi artystka na scenę powiew wielkiej, czystej sztuki. Salome, taka jak ją pojęła Bellincioni żyje—nic w niej sztucznego, nic udanego — pomimo że kreacya jej opracowana i obmyślana jest w najdrobniejszym szczególe i w całości.

Słynny taniec przed Herodem — tańczy Bellincioni sama — podczas gdy inne śpiewaczki wyręczają się zwykle tancerką i to potęguje jeszcze jednolity całokształt postaci Salome-Bellincioni. Te chwile, jakie się w Salome przeżywa dzięki Bellincioni, są dla słuchacza kulturalnego czemś, co odrywa od zabijającego szablonu przeciętnych przedstawień operowych, czemś, za czem się tęskni. Wilde i Strauss pobudzili talent odtwórczy w Bellincioni — a ona im płaci odtworzeniem postaci dramatu, na jakie się mało kto zdobyć potrafi.

Ten i ów znajduje wielkie braki w talencie wokalnym Bellincioni, prawda, skutkiem zbyt wyświetlonej emisyi, prędzej niżli powinna traci Bellincioni głos — ale długie jeszcze lata będzie wzorem do naśladowania jej frazowanie, inteligencya deklamacyi, psychologiczne pogłębienie każdej roli i niezrównana plastyka póz i ruchu.

Na wyrazy prawdziwego oburzenia zasługuje publiczność nasza, która zachowaniem swojem w dalszym ciągu stwierdza, że nie sztuka, a antrakty chyba są celem odwiedzania opery.

Z chwilą przyćmienia świateł i rozpoczęcia uwertury wszczyna się popłoch nie do opisania — maruderzy nie mogąc w ciemnościach odnaleźć numerów miejsc snują się po sali popychając wzajemnie, wypełniając przejścia i zmuszając widzów, którzy wcześniej miejsca swoje zajęli do ciągłego wstawania.

Doprawdy wielki czas po temu, aby został wprowadzony w czyn, niejednokrotnie zapowiadany przepis — otwierania drzwi widowni tylko podczas antraktów. Na tem ci „amatorzy" muzyki nic nie stracą — a ogół kochający sztukę — napewno zyska.

M. S.

Współcześni poeci francuscy.

Wybór poezyi. Przekład Kazimierza Rychłowskiego. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Sp. w Krakowie, str. 142.

Szczęśliwą miał myśl Rychłowski, wydając swój wybór przekładów ze współczesnej poezyi francuskiej. Zarówno sam dobór autorów, jako i prawdziwie artystyczne tłumaczenie wybranych poezyi świadczy chlubnie o wysokiej kulturze artystycznej tłumacza. Oczywiście niema mowy o tym, aby w niewielkim zbiorku, gdzie znajdujemy utwory dwudziestu przeszło twórców, zarysowywały się w pamięci naszej ich sylwetki duchowe; migają przed oczyma naszemi, jak w kalejdoskopie, kiedy niekiedy tylko wybitniej się zaznaczając. Takie indywidualności potężne, jak Leconte de Lisle'a, jak Verlaine'a, jak Heredii nie przechodzą nawet w najmniejszej ilości niepostrzeżone i zarówno egzotyzm pierwszego parnasisty, jak melodyjny smutek nieszczęsnego potępieńca życia, jak wreszcie spiżowa moc wielkiego twórcy klasycznie pięknych sonetów choć w całej pełni z książki Rychłowskiego zabłysnąć nie mogą, to jednak zaznaczają się wyraźnie. Poza wspaniałymi przekładami z poetów francuskich, pomieszczanymi w *Chimerze*, poza świetnymi przekładami Verlaine'a pióra Adama Stodora [1]), oraz „Kwiatami Grzechu" Baudelaire'a w tłumaczeniu Adama M—skiego i A. Langego, nadzwyczaj mało mamy przekładów z najnowszej, poromantycznej epoki poezyi francuskiej. A brak to tem dotkliwszy, że ostatnich lat czterdzieści wydało we Francyi całe szeregi twórców o niezwykle ciekawem obliczu duchowem. Jeszcze o Baudelairze i Verlaine'ie żywsze mamy pojęcie, jeszcze znamy choć ze słyszenia Leconte de Lisle'a, Mallarme'go, Sully-Prudhomme'a, lecz imiona Edmonda Haracourt, Anny Osmond, Marcela Roland i Louis Payen'a po raz pierwszy chyba pojawiają się w polskim tłumaczeniu.

A stanowi to niezaprzeczoną zasługę Rychłowskiego, że zoryentować się we francuskiej poezyi potrafił i umiał unikać wszelakiego śmiecia literackiego. Darować tylko niemożna, że w zbiorku swoim pominął milczeniem poetów tego znaczenia, co Charles Baudelaire i Stephane Mallarme, z nowych wspomnieć należało bezwzględnie o Victore-Emile Michelet'cie, autorze przepięknego tomiku „La Porte d'Or" oraz o Jeanne Sienkiewicz, której „Les Flammes de la Vie", zawierają wiele utworów pełnych wiosennego czaru i szczerego młodzieńczego natchnienia. Szkoda też, że Rychłowski podał obok nazwiska każdego poety, którego utwory wybrał do tłumaczenia, jedynie suche i mało nadzwyczaj mówiące daty urodzenia i zgonu, podczas gdy krótka chociażby charakterystyka danego pisarza miałaby dla czytelnika większą znacznie wartość. Życzyćby należało, aby przykład Kazimierza Rychłowskiego i innych zachęcił do dalszego czerpania w bogatej, a nam tak mało znanej krynicy natchnień współczesnej poezyi francuskiej.

Jan Iwański.

[1]) Paweł Verlaine. „Księga Mądrości" przełożył z oryginału Adam Stodor. Albin Staudacher i Sp Stanisławów, 1906.

NA DOBIE

(*R*) W sprawie ostatnich wystąpień Koła Polskiego w Dumie w ciągu dyskusyi budżetowej, które niebawem szczegółowej podamy ocenie, zamieszcza *Przegląd Poranny* szereg trafnych uwag i refleksyj. Przytaczamy poniżej z artykułów *Przeglądu* (w numerach 133, 134 i 135) ustępy najważniejsze.

W artykule p. t. „Mowa bez skarg" pisze *Przegląd*:

„Poglądem na działalność władz państwowych w Królestwie Polskiem" nazwał p. Roman Dmowski swoje wywody i oświadczył, że w tym przeglądzie brać „będzie za podstawę wszelką zdrową politykę państwową". I dowodził, że zwalczanie narodowości polskiej, ma tylko jeden skutek: wzrost przestępczości. Osłonienie masy od wpływu żywiołów kulturalnych, zwalczanie każdej pracy cywilizacyjnej, podżeganie nienawiści klasowej, wytwarzanie anarchii, zamykanie szkół — wszystko to wytwarza wyniki wprost straszne. Mówca polski twierdzi, że te wyniki są „straszne" dla państwa. Ale słuchano go z ironicznym uśmiechem — widziano w tem jakby przyznanie, że wyniki owe są straszne przedewszystkiem dla społeczeństwa polskiego.

„Interes państwa" — ta podstawa, na której p. Dmowski chce wznieść budowę polityki polskiego przedstawicielstwa jest pojęciem niesłychanie elastycznem. Zachodzi nawet bardzo poważna kwestya, czy wykorzenienie przestępczości leży istotnie w tak zwanym „interesie państwowym". „Państwo" jest abstrakcyą, jest fikcyą społeczną jest organizmem wytworzonym sztucznie przez instynkty władzy i porządku. Ale tak jak do wykonywania władzy potrzeba koniecznie, aby było kim władać, podobnie i do utrzymywania porządku, potrzeba koniecznie żywiołów, któreby temu porządkowi czyniły naprzeciw. Niewolnicy i zbrodniarze należą zatem do bardzo istotnych i niezbędnych części składowych każdego inwentarza państwowego.

Wyrazem woli, życzeń, potrzeb i interesów państwa są jego organy. Organem każdego państwa jest jego biurokracya. Interes biurokracyi bywa zawsze równoznaczny z interesem państwowym. Czasem interesy biurokracyi naczelnej nie są zgodne

z interesami biurokracyi podrzędnej — i na wyszukaniu tych różnic oparł właśnie Maklakow swoje niepospolicie zręczne przemówienie, które wywołało chwilową konsternacyę wśród prawicy, nie wiedzącej czy gniewać się czy klaskać. Ale oto organ Koła Polskiego poucza nas, że: „Mocne argumenty p. Dmowskiego uwydatniły się tem wyraziściej, że poprzednio Maklakow całą odpowiedzialność za system rządów zwalał na władze prowincyonalne, usprawiedliwiając poniekąd władze centralne, — Dmowski ostro potępiał także władze centralne, które są właściwem źródłem, systemu lokalnego, wytwarzającego przestępczą atmosferę..."

Podjął się zatem p. Dmowski misyi pedagogicznej, aby Piotrowi Arkadyuszowiczowi wytłomaczyć,że Piotr Arkadyuszowicz nie wie, gdzie i jak ma szukać własnego interesu. Czy p. Dmowski znajdzie w prezesie ministrów wdzięcznego ucznia można wątpić wobec tonu, w jakim odpowiadali mu Zamysłowskij, Aleksiejew i Bobrynskij. Nie mówili nic o pięknych humanitarno-państwowych założeniach, nie wzruszyła ich ani trochę idea podniesienia kulturalnego i umoralnienia mas ludności polskiej, — a mieli na ustach tylko podejrzenia, że Polacy dążą do niezawisłości państwowej i że środkiem do tej niezawisłości ma być autonomia. I przeciwko tej autonomii ciskali gwałtowne, przyjmowane oklaskami pioruny...

A przecież pan Dmowski nie wymówił ani nawet wyrazu: autonomia! Ba — właśnie, aby uniknąć „nieżyczliwego nastroju" większości Dumy, hasło autonomii, jako hasło „nie na czasie" zostało zawieszone na kołku! „Nic nie skarżymy się, niczego nie żądamy" — pouczamy tylko ministrów, w czem leży ich państwowy interes i w jaki sposób najskuteczniej mogą się pozbyć cienia nawet pretekstu do rządzenia w Polsce stanem wojennym. Pan Aleksiejew czuje się potem uprawnionym do twierdzenia, że mówimy innym językiem w Warszawie a innym w Petersburgu, a hr. Bobriński mniema, że jest upoważniony do wezwania, aby wystąpić „z poza ogona kadetów" i „wyjść naprzeciwko prawicy", ażeby „dopomódz jej do wzięcia za rogi byka polskiego".

Najdziksze wybuchy nienawiści istinnych ruskich ludzi byłyby nawet z ściśle politycznego punktu wyjścia stokroć pożądańsze, niż takie zarzuty i takie zaproszenia!

W artykule p. t. „Wyjaśnienie rządowe" między innemi czytamy:

Odpowiedź wiceministra spraw wewnętrznych Makarowa na mowę prezesa Koła polskiego w sprawie stanu wojennego w Królestwie Polskiem świadczy, że zapatrywania przedstawiciela rządu na znaczenie i cele „interesów państwowych" rozbiegają się zupełnie zasadniczo od poglądów, jakie ma w tym przedmiocie p. Dmowski. Jestto rzecz zupełnie naturalna, i jeżeli ją się stwierdza to chyba jedynie dla podkreślenia błędności prób wyszukiwania podstawy, na której możnaby z powodzeniem uprawiać tę pedagogiczną wobec biurokracyi działalność, jaką za cel swojej polityce postawiło Koło polskie...

Przedstawiciel rządu nie dopuszcza możliwości, aby być wiernym ojczyźnie polskiej bez niebezpieczeństwa dla interesów państwowych, tak jak je pojmuje światopogląd biurokratyczny. Dążenie do spolszczenia szkoły, sądu i urzędu, skierowane jest również według tego poglądu, przeciwko jednemu z najżywotniejszych interesów państwowych, aby stanowiska nauczycieli, urzędników i sędziów w Królestwie Polskiem zajmowane były przez rosyan...

Prezes Koła polskiego stanął na stanowisku innego interesu państwowego: interesu, aby Polakom było dobrze w państwie rosyjskiem, aby państwo znalazło w nich oparcie, jako w obywatelach, żywotnie zainteresowanych w pomyślnym i trwałym rozwoju organizmu państwowego. Interes ów w rozwinięciu myśli p. Dmowskiego, wykłada wczoraj Ludwik Straszewicz w *Kuryerze Polskim* w słowach następujących: „Politycznych marzeń i dążeń swoich społeczeństwo zaprzestać może jedynie ze względu na interes narodowy, przy warunkach bezpieczeństwa i pomyślności narodowej, przy zupełnej gwarancyi istnienia i rozwoju narodowego, przy pełni praw w kraju własnym i w państwie".

I w tem zestawieniu dopiero odsłania się cała niesłychana przepaść pomiędzy tem, co za interes państwowy uważa z jednej strony przedstawiciel rządu, a z drugiej pierwszy przedstawiciel ludności polskiej i polski najwybitniejszy publicysta.

Konwersacye na temat interesu państwowego staną się wobec tego z natury rzeczy błędnem kołem, wieżą Babel, w której obie strony nie będą mogły nigdy zrozumieć wzajemnego języka pojęć i wyobrażeń. Czyby zatem dla naszych polityków nie było rzeczą najwłaściwszą porzucić te konwersacye, do których wracają z godnym lepszej sprawy uporem, a natomiast ograniczywszy się do kategorycznych i stanowczych zapewnień, że nikt w Polsce o oderwaniu się państwowem nie myśli i że politycy polscy mają przecież wszystkie pięć klepek w porządku a warunków działania nie oceniają z punktu lunatycznych urojeń — i przenieść całą walkę na grunt znacznie mocniejszy.

O tym gruncie wspomina już i Ludwik Straszewicz, choć partya jego stworzyła właśnie tę taktykę, którą obecnie posługuje się p. Dmowski. Pisze mianowicie p. Straszewicz: „Prawicy Dumy, a może i październikowcom zdaje się, że oni tylko zwalczają Polaków, a oni wojują jednocześnie z prawami natury... Polska musi czekać, aż w Rosyi choroba nacyonalizmu minie"... A nietylko czekać, bo i przykładać się do tego w miarę sił. Ale na to przedewszystkiem potrzeba podjąć walkę z samą istotą i naturą nacyonalizmu. Nasza delegacya — czy zechce taką walkę podjąć?

Wreszcie w artykule p. t. „Sztuka rozumienia się" *Przegląd* pisze:

Sztuka wzajemnego rozumienia się nie jest tak łatwą, jakby się to z pozoru mogło zdawać.

Skarżymy się, że źle jesteśmy rozumiani przez naszych wrogów, że wmawiają w nas zamiary, żądania, plany, których nie mamy. Dziwimy się temu, rozpaczamy nad tem, oburzamy się, nie umiemy sobie tego wyjaśnić, przypisujemy to wszystko piekielnym intrygom zwyrodniałych publicystów — i tłomaczymy się, wyjaśniamy, usprawiedliwiamy, zaklinamy... A wszystko groch o ścianę...

Do zrozumienia się potrzeba koniecznie, aby obie strony ożywione były rzetelną, wolną, niczem nieograniczoną, dobrą wolą zrozumienia się wzajemnie...

Ale i to nie dosyć. Nawet przy dobrej woli i najściślejszem wypowiadaniu się, trzeba jeszcze znaleźć punkt wyjścia wspólny, jakąś choćby najwęższą tylko podstawę pojęć, uczuć, ideałów, o któreby się można oprzeć, jako o fundament, zdatny do wzniesienia na nim budowli porozumienia. Jeżeli popełni się ten błąd, że zaczyna się ową budowlę nie na jednej i tej samej podstawie, ale na dwóch, choćby bardzo podobnych, choćby analogicznych, choćby jak dwie krople takich samych, ale sprzecznych i wyłączających się zasadniczo — o porozumieniu się nie może być już mowy. Im lepiej nawzajem takie dwa biegi myśli będą się pojmować i oceniać tem bardziej będą się z sobą kłócić, żreć i zjadać.

I dlatego to „nacyonaliści z nacyonalistami nie porozumieją się nigdy", a przyjaciele wolności z przyjaciółmi wolności porozumieją się zawsze.

Dlatego także u nas w kraju najbardziej rozdwojone stronnictwa zawsze się zrozumieją i złączą, gdy chodzi o oparcie na wspólnej podstawie — na umiłowaniu narodowego bytu. A jeżeli to zrozumienie i złączenie się nie jest stałe, dzieje się to głównie dlatego, że nie zawsze rozumiemy samych siebie, nie zawsze zdajemy sobie jasną sprawę z celów i sposobów, nie zawsze lubimy ścisłość pojęć i określeń, — i nie zawsze chcemy się wzajemnie zrozumieć, nawet wtedy kiedy rozumiemy się doskonale.

Drobnym przykładem takiego nieporozumienia jest wczorajszy wywód Ludwika Straszewicza, wykazujący, że „niesłusznie" domaga się *Przegląd Poranny* kategorycznych i stanowczych zapewnień, które już były składane przez wszystkie stronnictwa, a najjawniej, najbezwzględniej przez narodową demokracyę. Właśnie domaganie się o g r a n i c z e n i a dyskusyi w przedmiocie dostatecznie już podkreślonych zapewnień, i przeniesienia jej na inną podstawę — było przedmiotem naszego artykułu. Ułatwiłaby ta zmiana niepomiernie i zrozumienie się wzajemne stronnictw w kraju i zrozumienie się nas wszystkich z temi stronnictwami rosyjskiemi, które mają wspólną z nami podstawę: — czci dla wolności. Na porozumienie z Aleksiejewami, Zamysłowskimi i Mieńszykowami szkoda słów i czasu. Te gramofony same przez się umilkną, gdy szacunek dla obywatelskiej i ludzkiej wolności stanie się dominującą płytą państwowego instrumentu.

Polskie Towarzystwo krajoznawcze.

Pracowicie, w ciągłych zabiegach i znoju, spełniają swą służbę publiczną kierownicy, istniejącego w Warszawie od półtora roku, Towarzystwa krajoznawczego. Owocna jej działalność ogarnęła w swe ramiona niemal kraj cały, a nawet ziemie przyległe, „geograficznie lub historycznie z nim związane", a rozwija się ona w różnorodnych kierunkach, wykreślonych przez statut. Są dni, które więcej reklamujące się Towarzystwo nazywałoby niezawodnie swymi dniami, obwieszczając o tem *urbi et orbi*... Czyż np., nie sięgając dalej wstecz, nie należałoby *6-go maja* nazwać *dniem polskiego Towarzystwa krajoznawczego?*

Uprzytomnijmy sobie tylko działalność zarządu i jego funkcyonaryuszów w ciągu owego dnia. Od 10-ej zrana do 8-ej wieczorem, w wielkiej sali „Uranii" i przyległym do niej pokoju,w drugim dniu swego istnienia,otwarta była *wystawa wycieczkowa*, zapoczątkowana przez dzielnego krajoznawcę i przewodnika wycieczek z młodzieżą, spółzałożyciela T-wa krajoznawczego, Aleksandra Janowskiego. Przy bezpłatnym wstępie, zwiedziło wystawę tego dnia przeszło 1500 osób (w ciągu 3-ch dni istnienia przeszło 4000). W erze rozpoczynających się wycieczek zbiorowych wystawa celowo zobrazowała to, co należy zabrać z sobą, udając się na wycieczkę, jakie środki pomocnicze mieć na uwadze, jak się ubrać, wreszcie co można zebrać na owych wycieczkach z dziedziny przyrody i etnografii. W myśl tego, „Urania" wystawiła przybory wycieczkowe: siatki do motyli i owadów, skórzane torby i worki wycieczkowe, szpilki, igły, pincety, lupy, słoiczki itp. Firma St. Szalaya — wszelkie przyrządy fotograficzne do ilustrowania najciekawszych momentów wycieczek, gdy

p. R. Cholewiński przedstawił przykłady fotografowania widoków ogólnych. Księgarnie Gebethnera i Wolffa, oraz M. Arcta — szereg map, podręczników i broszur, których przestudyowanie przed wycieczką daje możność jej uczestnikom oryentowania się i korzystnego wyzyskiwania tego, co zwiedzają. „Apteczka turysty pomysłu d-ra J. Ślaskiego — ma doniosłe znaczenie. Bogate zbiory szkoły Wróblewskiego — są to plony dwóch wycieczek wychowańców tej szkoły — na Litwę i Białoruś — pod wodzą nauczyciela, również dzielnego jak Janowski pracownika, spółzałożyciela Towarzystwa, Kazimierza Kulwiecia. Manekin okazuje zalecany młodym wycieczkowiczom typ ubrania lekkiego, wygodnego. Okazałe przedstawiały się zbiory okazów z dziedziny krajoznawstwa, złożone przez Aleksandra Janowskiego: stroje i naczynia ludowe, pasy, wełniaki, sita biłgorajskie, pisanki, afisze, fotografie i.t.p. Zbiór tych okazów ofiarował Janowski, po wystawie, Towarzystwu Krajoznawczemu. Zwracały uwagę znawców kolekcye skał i skamieniałości: 1) systemu jurajskiego (wystawca członek - korespondent St. Czarnowski) i 2) systemu kredowego (wystawca Jerzy Suchodolski, uczeń). Przezrocza do odczytów firm: „Światło cień" (M. Ostaszewskiej) i „Uranii", zbiory Józefa Hełczyńskiego, album wełniaków barona Graevego, fotografie ze zbiorów St. Piaskowskiego i in., wyroby rzeźbiarskie pracowni Sekuły z Ojcowa, ekrany z licznemi wydawnictwami Towarzystwa krajoznawczego (broszury odczytowe po 10 groszy, pocztówki w kilku seryach, rocznik, wydawnictwo: „Poznaj swój kraj"!), „wycinanki", „nalepianki" i.t.p., dopełniały ciekawej i pouczającej całości. Pożytku, jaki osiągnęli zwiedzający, nie trzeba chyba dowodzić.

Tegoż samego dnia oba biura T-wa (przy ul. Zgoda Nr. 8, i Sadowej Nr. 12) przyjmowały zapisy na wycieczkę niedzielną do Czerwińska: — mimo niepewną pogodę, dzień ten zadecydował, żeby zabrać zgłaszających się, nie wystarczy jeden statek parowy. Jakoż w sobotę zamknięto listę zapisami 400 tu osób (komplet 2-ch statków).

Wycieczka, wzorowo zorganizowana, zadowoliła wszystkich, dając zdobycze naukowe: odkrycie w Wólce Przybojeckiej starego cmentarzyska ze świetnie zachowanemi urnami, a pod Czerwińskiem — skamieniałych korali. Zbiory przy ul. Sadowej zwiedziło (zawsze 6-go maja) przeszło, sto osób, w tej liczbie wychowańcy szkół różnych i osoby przybyłe z prowincyi. Na zakończenie dnia o 8-ej wieczorem, w dużej sali Towarzystwa wioślarskiego, odbyło się miesięczne zebranie członków Towarzystwa i wprowadzonych gości. Osób ze 300. Prezes T-wa, Zygmunt Gloger, wygłosił b. ciekawy odczyt „O naj starszych zabytkach rolnictwa w Polsce"; członek korespondent Stanisław Czarnowski mówił o zainicyowanych przez siebie muzeach w Ojcowie, Pieskowej Skale i Miechowie, zalecając zarazem tworzenie, na prowincyi, pracowni przyrodniczo-krajoznawczych, na skromną skalę. Aleksander Janowski w wymownych słowach i doskonałych przezroczach zilustrował przyszłe wycieczki do Czerwińska, Łowicza i Arkadyi. Oto — dzień T-wa krajoznawczego.

Nie można się dziwić, że T-wo takie pozyskało sympatyę całego społeczeństwa, licząc obecnie w Warszawie i na prowincyi około 500 członków (zapisanych w zarządzie centralnym), przeszło 100 członków korespondentów mając oddziały prowincyonalne we wszystkich miastach gubernialnych, a z innych ognisk: w Łowiczu, Włocławku, Łapach, Wieluniu, Kutnie. Zdobyciu placówek na prowincyi pomagały skutecznie odczyty agitacyjne, które wygłaszali pp. K. Kulwieć, Al. Janowski i K. Hoffman. Pomału do Towarzystwa krajoznawczego zaczynają się garnąć ludzie ciężkiej pracy: np. mechanicy, rzemieślnicy. Ułatwia im to nizka składka roczna: 3 ruble (w ratach kwartalnych), wpisowe zaś wynosi tylko rubla.

Karol Hoffman.

* * *

Z par. 2 cz. 1 art. 73 kodeksu karnego pociągnięty został do odpowiedzialności p. Aleksy Kurcyusz za artykuł p. t. „Z nowych kierunków reform społecznych", zamieszczony w Nr. 12 *Prawdy* z r. 1907. Jako podstawa do wytoczenia przeciw p. Kurcyuszowi sprawy karnej posłużyło władzom następujące doniesienie Arcybiskupa warszawskiego z dn. 23/IV 1907 r., które przytaczamy dosłownie:

Warszawskij Archiepiskop. 10/23 apriela 1907 goda Nr. 2332 Warszawa. Gospodinu Prokuroru Warszawskawo Okrużnawo Suda. W Warszawskom jeżeniedielnikie *Prawda* ot 23 marta s. g. Nr. 12 pomieszczena statia „Z nowych kierunków reform społecznych" („Nowyja tieczenia obszczestwiennych reform"), w kotoroj na strannice 136 nachoditsja otrywok, „czto obszczestwo pleniennoje geniem mieczа, uma, sierdca ili talanta zamołkajet i nie wozbużdajet mielocznawo, wzdornawo, załkawo szuma o rodoslowii, o tom swidietielstwujet to obstajatielstwo, czto ono (obszczestwo) wozdwigajet pamiatniki takim, tak nazywajemym „niezakonnorożdiennym" licznostiam, kakowy: Isus Nazaretskij, Teodorich Wielikij, Leonardo da Winczi, Arretino, Diuma (syn) i procz." W widu zakluczajuszczawosia w wysze priwiediennom otrywkie bezspornawo fakta bogohulstwa, imieju czest' prosit' rasporiażenia Waszewo Prewoschoditielstwa o priwleczenii winownych k zakonnoj otwietstwiennosti. Priłożenie: ekzemplar Nr. 12 *Prawdy* za tiekuszczij god. † Archiepiskop Wikientij Popiel. Regens kancelarii Ks. S. Msciсhowskij.

[Warszawski Arcybiskup 10/23 kwietnia 1907 roku Nr. 2332. Warszawa. Do Pana Prokuratora Sądu Okręgowego w Warszawie. W tygodniku warszawskim *Prawda* z 23 marca r. b. Nr. 12 zamieszczono artykuł „Z nowych kierunków reform społecznych", w którym na stronicy 136 znajduje się ustęp: „Że społeczeństwo pokonane geniuszem miecza, umysłu, serca lub talentu, milknie i nie podnosi małostkowej, bzdurnej, mizernej wrzawy o rodowód — świadczy o tem to, że stawia ono pomniki takim dzieciom, tak zwanego „nieprawego łoża", jak Jezus z Nazarethu, Teodoryk Wielki, Leonardo da Winci, Aretino, Dumas (syn) i inni". Wobec zawartego w powyżej przytoczonym ustępie bezspornego faktu bluźnierstwa, mam zaszczyt prosić W. Pana o rozporządzenie pociągnięcia winnych do odpowiedzialności prawnej. Załącznik: ekzemplarz Nr. 12 *Prawdy* za rok bieżący. Arcybiskup Wincenty Popiel. Regens kancelaryi ks. S. Mścichowski].

Z zebr. dysk. P Z P

(*R*) W dniu 19 b. m. t. j. w wtorek odbyło się kolejne zebranie dyskusyjne Polskiego Zjednoczenia Postępowego. Przedmiotem dyskusyi była ważna i aktualna „kwestya słowiańska", przewodniczył zebraniu p. Waydel, sekretarzowali p. p. Adamiecki i Rappaport. Dyskusye w obszernem przemówieniu zagaił p. Łypacewicz wszechstronnie oświetlając kwestyę porozumienia się narodowości słowiańskich zarówno ze stanowiska jej rodowodu i dotychczasowej historyi, jak i przyszłości sprawy powyższej z punktu widzenia postępowego i humanitarnego. Referat p. Łypacewicza wywołał ożywioną dyskusyę, w której brali udział zaproszeni pp. prof. Pogodin, Łopatin i dr. Pollak oraz członkowie P Z P Lemański, Konic, Moszczeńska, Życki i inni. Szczegółowe streszczenie zarówno referatu p. Łypacewicza jak i przebiegu dyskusyi podamy w następnym numerze.

KRONIKA.

Rozprawy Dumy nad budżetem, a właściwie nad systemem rządów ministeryum spraw wewnętrznych, należały do najbardziej interesujących, jakie się w Dumie toczyły. Przemówienia były rzeczowe, głęboko analizujące położenie i jakkolwiek zgoła nie powściągliwe w krytyce, pozbawione charakteru namiętnego. Mowa Maklakowa zjednała sobie uznanie całej izby, nie wyłączając nawet prawicy. Sprawiła ona wrażenie tak dodatnie, że zdawało się zrazu, iż przeistoczenie uległ nastrój trzeciej Dumy. Mowa Meyendorfa, przedstawiciela październikowców, nie oszczędzała również zarzutów polityce ministeryum spraw wewnętrznych. Uważnie wysłuchana była mowa Dmowskiego, na ogół sukces moralny w pierwszym dniu rozpraw był po stronie opozycyi. Mowa wiceministra Makarowa zawierała wyjaśnienia, na które opozycya miała gotowe odpowiedzi, ponieważ nie dopuszczano jej do tych odpowiedzi, opozycya usunęła się od dalszych rozpraw i zademonstrowała to wyjściem z sali. Koło polskie pozostało. Nazajutrz dyskusya nad wnioskiem o dopuszczenie do głosu ograniczonej liczby posłów celem wypowiedzenia się z powodu mowy wiceministra przybrała charakter sporu o kwestyę formalną, w toku którego doszło do ostrej wymiany słów między Guczkowem a Milukowem. Ostatecznie wniosek został uchwalony, przemawiali: Dmowski, Eulogiusz, Maklakow, Obrazcow, Adżemow, Szubiński. Formułę przejścia do porządku dziennego przyjęto w redakcyi komisyi budżetowej. Obrady nad preliminarzem ministeryum handlu nie przedstawiały szczególnego interesu. Ożywionem było posiedzenie Dumy, na którego porządku dziennym znalazła się interpelacya w sprawach Finlandyi. Po mowie referenta Gołołobowa, mowie przesiąkniętej skrajnym szowinizmem, wypowiedzianej z wielkim patosem zabrał głos prezes ministrów, Stołypin. Mowa jego, roztrząsająca stosunek Finlandyi do Rosyi, przerywana była ciągłymi oklaskami ze strony prawicy.

Prezes regencyi poznańskiej ogłosił w sprawie ustawy o zebraniach i stowarzyszeniach (prawomocnej od 15 b. m.), iż językiem polskim na zebraniach publicznych posługiwać się można w obwodzie regencyjnym poznańskim w następujących pow.: poznańskim wschodnim i zachodnim, wrzesińskim, jarocińskim, środzkim, śremskim, obornickim, szamotulskim, grodziskim, śmigielskim, kościańskim, gostyńskim, koźmińskim, krotoszyńskim, pleszewskim, ostrowskim, odolanowskim, ostrzeszowskim i kempińskim. W powiatach tych Polacy stanowią więcej niż 60 proc. ogólnej ludności. Sam Poznań uznano natomiast za miasto, gdzie Polacy nie mają odpowiedniego procentu. Przed terminem uprawomocnienia ustawy odbył się w Poznaniu szereg wieców, między innymi wiec kobiet i wiec Straży; ponieważ mówiono na nich po raz ostatni po polsku, wiece te wywarły głębokie wrażenie.

Książę Meklemburski zwołał sejm na sesyę nadzwyczajną celem oznajmienia, iż Meklemburgia otrzyma nową konstytucyę. Z mowy tronowej wynika, że nowa reprezentacya krajowa będzie bardzo skomplikowana w swoim składzie. Deputowani, którzy wyjdą z wyborów powszechnych będą w mniejszości. Główny kontyngens deputowanych wybierany będzie

przez rycerstwo, rolników i zawodowców. Będzie to zatem tylko płaszczyk konstytucyjny na dawnem państwie feudalnem. Sąd Rzeszy rozpatrywać będzie d. 22 b. m. skargę, którą zgłosił Hardon, domagając się rewizyi swego procesu z Moltkem.

Śledztwo przeciw Siczyńskiemu zostało ukończone, nie wykryło ono żadnego zorganizowanego spisku przeciw namiestnikowi Potockiemu. Obrońcy wnieśli prośbę, by Siczyński stawał przed sądem niemieckim. W procesie studentów ruskich przeciw Sienkiewiczowi o oszczerstwo, trybunał wiedeński wydał wyrok, skazujący Sienkiewicza na 300 koron kary, sędziowie przysięgli zaprzeczyli zarzutom potwarzy w druku, uznali zaś fakt wydrwienia studentów ruskich.

* * *

Odmówiono legalizacyi następującym stowarzyszeniom: Zawodowemu Związkowi Komiwojażerów-Chrześcian; Tow. hodowli bydła i nierogacizny w Królestwie Polskiem; Tow. żydowskiemu „Or" w Płońsku; okręgowemu Tow. rolniczemu w Kutnie; Tow. statystycznemu; warszawskiemu Tow. podręczników szkolnych, Tow. wzajemnej pomocy członków Tow. kupieckiego w Warszawie i zgromadzenia giełdowego. Zatwierdzono natomiast: Tow. przemysłu graficznego w Królestwie Polskiem; Polskie Tow. oftalmologiczne; Kółko rolnicze Sochanieckie w pow warszawskim i czerniakowsko-sierakowskie.

Z rozporządzenia general-gubernatora czasopismo ludowe *Siewba* zostało zawieszone na czas trwania stanu wojennego

Z rozporządzenia gen.-gubernatora warszawskiego, redaktora *Wolnego Słowa* p. Leo Belmonta, za artykuł „Kobieta jako ofiara i bojowniczka ruchu wolnościowego", skazano na karę 250 rb. z zamianą na wypadek niezapłacenia na 2 tygodnie aresztu.

* * *

Biuro pracy społecznej otrzymało wiadomość z Petersburga, że rada ministrów uchwaliła, aż do czasu opracowania nowego ustawodawstwa szkół średnich, pozostawić istniejący dotychczas faktyczny porządek zatwierdzania nauczycieli historyi powszechnej w szkołach prywatnych Królestwa.

Główny zarząd rolnictwa i urządzenia gruntów zawiadomił kancelaryę general-gubernatora, że lubelskiemu Towarzystwu rolniczemu pozwolono w ciągu r. 1908/9 organizować w Nałęczowie sześciomiesięczne kursy rolnicze dla włościan dorosłych. Otwarcie kursów powinno nastąpić w październiku i trwać do kwietnia 1909 r. Na kursach będą wykładane: rolnictwo, ogrodnictwo, warzywnictwo, gospodarstwo mleczne, nauki przyrodnicze, arytmetyka i ogólna weterynarya. Na kursy mogą uczęszczać włościanie nie młodsi od lat 16, opłata za kurs nauki 10 rb. Wykłady pozwolono prowadzić w języku polskim.

W Tow. Prawniczem na posiedzeniu sekcyi ekonomiczno-społecznej p. Norbert Pinkus złożył sprawozdanie z piśmiennictwa ekonomicznego w ostatniej dobie. Referat ten był pierwszem urzeczywistnieniem nowego programu sekcyi, polegającego na peryodycznem opracowywaniu t. zw. kroniki ekonomicznej, która ma obejmować sprawozdania z piśmiennictwa ekonomicznego, oraz referaty o faktach i zjawiskach ekonomicznych. Następnie p. Kaz. Kasperski wygłosił odczyt o prawie budżetowem i budżecie na r. 1908. We wstępie referent dał krótki zarys rozwoju techniki budżetowej Rosyi, omówił reformę, dokonaną w tej dziedzinie przez przepisy z r. 1862, oraz wymienił ważniejsze zarządzenia prawne aż do wydania przepisów z d. 8 marca r. 1906, które wraz z niektórymi artykułami Praw Zasadniczych składają się na całość tego, co nazywamy „prawem budżetowem". Nawiązując dalej względnie ciasny zakres kompetencyi Dumy do zadań, jakie ma spełnić w dziedzinie sankcyi stosunków finansowych i reform systemu skarbowego, referent rozpatrzył krytycznie główniejsze pozycye rozważanego już w Dumie projektu budżetu w dziale rozchodów i wydatków. Interesujący referat wywołał dyskusyę, w której uczestniczyli pp. J. Dmochowski, Reicher, Kosznicki, J. Peretz i St. Kempner.

* * *

Wystawa towarzystwa miłośników przyrody w Bagateli będzie otwarta w 23 b. m. Oprócz wymienionych poprzednio przedmiotów będą wystawione żywe ptaki. Przedstawienia kinematograficzne — wyłącznie z dziedziny przyrody i nauki — odbywać się będą podczas dnia w zamkniętej przestrzeni, wieczorem zaś w ogrodzie. Oprócz ciągłych objaśnień, udzielanych przez członków komisyi wystawowej przez wystawców i uproszonych specyalistów, codziennie znani prelegenci będą wygłaszać obszerniejsze pogadanki, związane z zakresem wystawy i zadaniami Towarzystwa. Oprócz tej części naukowej, — ujętej w formy łatwe, ponętne i krótkie, nie małą przynętę powinna stanowić wspaniała dekoracya roślinna i muzyka. Twórcy wystawy zamierzyli wyciągnąć z przyrody nietylko naukę, ale i wyrobienia estetyczne, zespolić naukę ze sztuką i dostarczyć w ten sposób Warszawie rozkoszy szlachetniejszych, odpoczynku dla myśli pełniejszego i wyższego.

wh.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcyi przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i środy od 11 — 12; piątki i soboty od 4 — 5 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: Wincenty Biskupski. Redaktor: Roman Nowakowski.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.